NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 12 lutego 1916. Nr. 7.

Na pobojowisku.



Treść numeru: Wojna na morzu. — Polska artylerya. — Na pole walki. — Z polskich pobojowisk. — Stacya zborna Legionów w Budapeszcie. — Z Królestwa Polskiego. — Na pamiątkę oswobodzenia Lwowa. — Tarcza Legionów w Myślenicach. — Z zachodniego frontu i t. d.

Nasz kalendarz wielkiej wojny.

Wśród wydawnictw polskich, poświęconych obecnej wojnie, nie było dotychczas takiego, któreby ujmowało całokształt zaszłych dotychczas wydarzeń wojennych. Lukę tę wypełnia Kalendarz „Nowości Illustrowanych" na rok 1916 który przedstawia **całość wydarzeń „wielkiej wojny"** w jej dotychczasowym przebiegu, w słowie i illustracyi. Od zwykłych kalendarzowych wydawnictw wyróżnia się on podporządkowaniem układu jednej myśli przewodniej. W kilku źródłowo opracowanych działach Kalendarza „Nowości Illustrowanych" znajdują się zgrupowane systematycznie informacye o wojnie światowej i jej wpływie na losy Polaków i Polski. Niezwykle zaś bogaty materyał illu-



Wojna na morzu: Wnętrze okrętu po uderzeniu granatu.



Obrazki wojenne: Sztab w polu.

stracyjny, na autentycznych zdjęciach fotograficznych oparty, czyni z tego „Kalendarza" **zbiór dokumentów wojny światowej oraz jej dziejów na ziemiach Polski** i zarazem albumowe wydawnictwo pamiątkowe, co uwydatnia także wielki format Kalendarza. Dział beletrystyczny, także wojnie poświęcony, stanowi miłe jego uzupełnienie.

O wartości Kalendarza „Nowości Illustrowanych" najwymowniej świadczą recenzye, zamieszczone w organach naszej prasy. Między innemi głosami **referent literacki „Nowej Reformy"** pisze o naszem wydawnictwie:

„Pożyteczną i ze wszech miar pożądaną pamiątką wielkiego roku wojny będzie wydane w tych dniach, pod popularną nazwą kalendarza, **piękne album wojenne, będące niejako księgą pamiątkową historycznych lat wojny,** jakie przeżywamy. Znajdujemy w tem ozdobnem wydawnictwie treściwy obraz wypadków wojennych od chwili wybuchu światowej wojny, aż po koniec roku 1915. — Kilkaset klisz uprzytamnia zaszłe wypadki i epizody wojenne, których przegląd wskrzesza w pamięci oglądającego chronologiczny bieg wydarzeń dziejowych. — Treść księgi rozpada się na kilka działów: historyę światowej wojny, dzieje powstania i walk Legionów, obraz zniszczenia Galicyi i Polskę na emigracyi. — Każdy z działów przynosi kilkadziesiąt illustracyj, dobrze wykonanych z fotografij; zebrane w jedną całość, układają się w zajmujący obraz o charakterze epickim. Szczególniejszej wartości dodaje książce starannie opracowany i na pierwszy plan wysunięty dział rzerzeczy polskich, a więc dzieje i czyny wojenne Legionów, obrazy zniszczenia wojennego Galicyi i Polska na emigracyi — przynoszący zdjęcia baraków w Chocni i Libnicy, oraz sceny z życia tułaczy naszych na obczyźnie. Na końcu krótki dział beletrystyczny.



Tarcza Legionów w Myślenicach: Udekorowany kiosk po uroczystości odsłonięcia tarczy.



Obrazki wojenne: Zakryte okopy armii austryackiej.



Obrazki wojenne: Odpoczynek w okopach.



Na pamiątkę oswobodzenia Lwowa: Medal pamiątkowy, wybity przez Krakowskie Tow. Numizmatyczne.

Ozdobna szata zewnętrzna „Kalendarza wojennego“, mnogość illustracyj aktualnych, oraz nizka cena, zapewnią temu wydawnictwu zasłużoną poczytność.“

Na pobojowisku.

Za lat choćby kilka, gdy już ucichną zupełnie odgłosy obecnej wojny, a czas bodaj częściowo zagoi rany, jakie ona zadała, ojcowie, którzy brali w niej osobisty udział, a potem, okryci chwałą zwycięzców, powrócili pod dach rodzinny, opowiadać będą swym dzieciom, ile to wówczas przeżyli i jakich dokonali wysiłków.

I nieraz wówczas się przydarzy, że numer *Nowości Illustrowanych*, pochodzący z tych czasów, a przynoszący illustracye z placu boju, znajdzie się wówczas na stole, a ojciec, wskazując synowi obrazek, rzeknie:

— Patrz synu!... I ja tam byłem!

Wychodząc z zasady, że *Nowości illustrowane* mają być pamiątką tych wielkich, choć tak ciężkich czasów, zamieszczamy też bardzo chętnie ryciny, nadsyłane nam z pola walki tak z terenów północnych, południowych, jak i wschodnich, wogóle ze wszystkich stron, gdzie z przemożnym wrogiem zmagają się nasze dzielne zastępy, ożywione i dziś, po ośmnastu miesiącach wojny, tym samym duchem, co i wówczas, gdy szły w bój pewne zwycięstwa słusznej sprawy.

W niniejszym numerze zamieszczamy cały szereg illustracyi z różnych stron, gdzie niedawno jeszcze szalała wojna, a dziś panuje spokój chwilowy. Widzimy tu obrazki z pobojowiska, bezpośrednio po ukończeniu walki, niektóre z nich przejmujące może i grozą, świadczące jednak dobitnie, z jakiemi trudnościami walczyć musiała nasza armia i jakie pokonywać przeszkody.

Na pamiątkę oswobodzenia Lwowa.

Zmienne są losy obecnej wojny. W pierwszym jej okresie Rosya tryumfowała, nietyle z rzeczywistych sukcesów, ile z chwilowego zaspokojenia swych nacyonalistycznych aspiracyi. Skutkiem konieczności strategicznych, wojska austro węgierskie ustąpiły ze Lwowa i Galicyi Wschodniej, gdzie Rosyanie poczęli już gospodarzyć, jak u siebie w domu, w „rdzennie rosyjskim kraju“...

Ale im z większym hałasem obchodzili ten chwilowy sukces, który uświetnił swą osobą sam car, odwiedzając Lwów i Przemyśl, tem większą była ich klęska, gdy musieli uciekać z Galicyi po przełamaniu pozycyi nad Dunajcem. Ostatecznem zlikwidowaniem galicyjskiej imprezy Rosyan było wypędzenie ich ze Lwowa, co stanowiło też niewątpliwie punkt zwrotny w dziejach obecnej wojny na terenie wschodnim i w krytycznych losach Galicyi...

W dniu 22. czerwca 1915 roku odetchnęła cała Galicya: w stolicy jej skończyła się wreszcie gospodarka Rosyan! Był to przełomowy moment w dziejach Galicyi i w dziejach obecnej wojny, który słusznie też upamiętniło Krakowskie Towarzystwo numizmatyczne specyalnie wybitym medalem. Wśród licznych pamiątek obecnych historycznych czasów, medal ten, którego fotograficzną odbitkę przedstawiają nasze illustracye, wyróżnia się dodatnio artystycznem wykonaniem. Nie ulega też wątpliwości, że ze względu na swą artystyczną wartość, jak również i doniosły moment, który upamiętnia, medal ten znajdzie się w rękach jaknajszerszych kół naszego społeczeństwa.



Wojna na morzu: Windowanie torpedy.



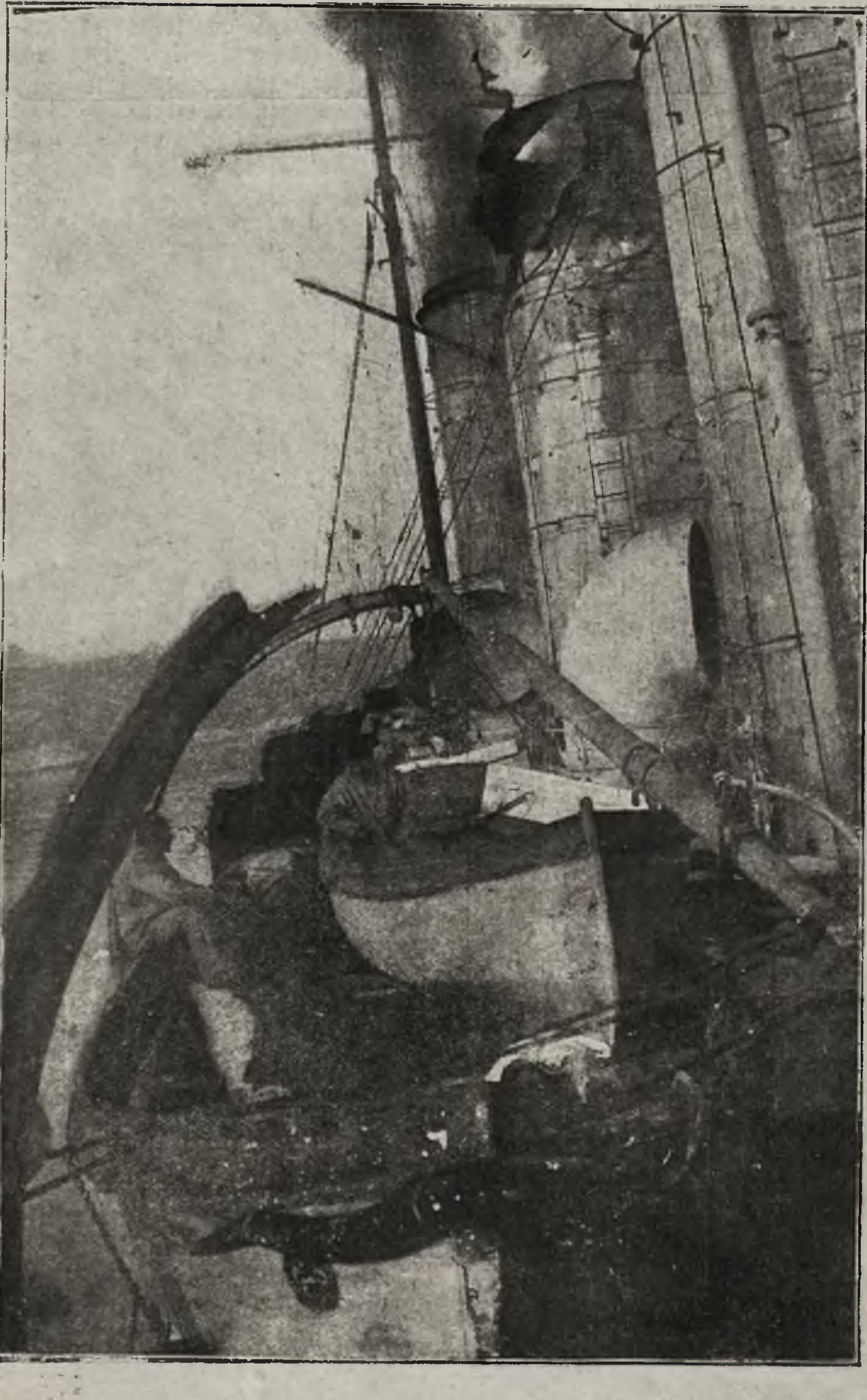
Na pamiątkę oswobodzenia Lwowa: Medal pamiątkowy, wybity przez Krakowskie Tow. Numizmatyczne.

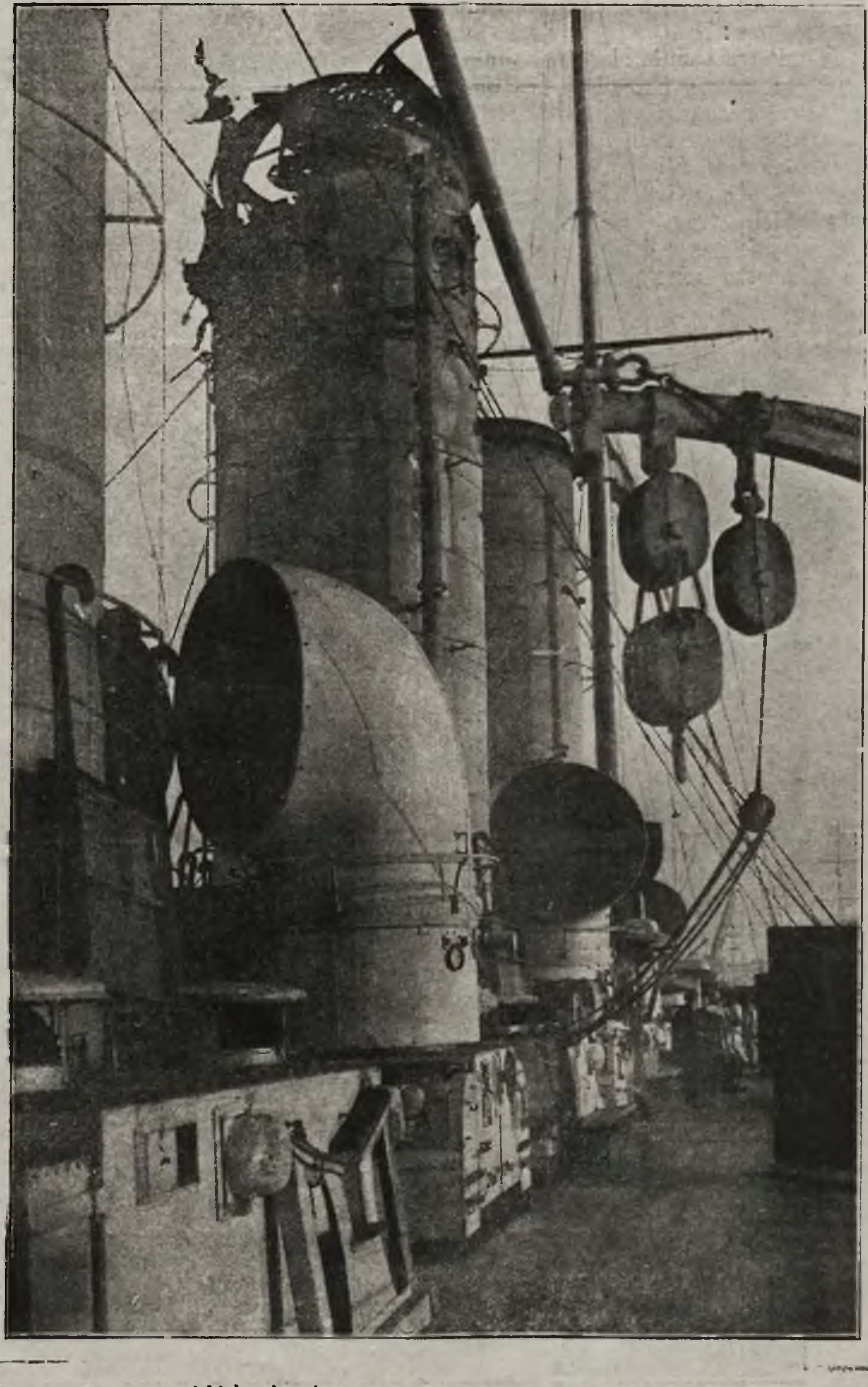


Na pobojowisku: Zwłoki poległego żołnierza.



Na pobojowisku: Po walce w lesie.





Wojna na morzu: Okręt wojenny z uszkodzonymi przez pociski kominami.

M. J. MIGOWA.

„Wojenne“ kłopoty literata.

Humoreska aktualna.

— Tak, kochany panie Andrzeju, nie możemy niestety z tej noweli skorzystać...

— Ależ dlaczego, panie redaktorze?! Przecież śmiało powiedzieć mogę, że moje utwory podobały się zawsze publiczności!

— Nie przeczę, że się podobały, ale przed wojną! Teraz, kochany panie, tylko aktualność popłaca! Takie „cywilne“ miłosne historye nikogo dzisiaj nie obchodzą. Popatrz pan, otrzymujemy stosy listów z wymówkami, a nawet z ostremi wymyślaniami za to, że w obecnych czasach zamieszczamy utwory, nie mające nic wspólnego z wojną! Grożą nam, że zaprzestaną czytać pismo, jeżeli nie pójdziemy za prądem czasu! Tak! tak! ludzie obecnie tylko o wojnie mówią, o wojnie piszą i czytają, myślą o niej we dnie i śnią w nocy... o niczem innem słuchać nawet nie chcą!...

— Ależ to okropne, panie redaktorze, więc niema nadziei, aby moja nowela...

— Nie! nie drogi panie... Ta nowela nie pójdzie teraz absolutnie... Pisz pan co innego... Pisz pan „listy z rowów strzeleckich“, pieśni żołnierskie, nastroje wojenne, obrazki z okopów, nowelle wojenne, historye o szpiegach!...

— Ależ jakże ja o tem wszystkiem pisać będę, kiedy ja na wojnie nigdy nie byłem, w wojsku nie służyłem i wogóle nie mam pojęcia, jak to na polu bitwy wygląda, jak ci ludzie tam się biją... Wiem tylko tyle, że nie na pięści i nie na kije, ale pozatem niewiele więcej... A co do szpiegów, to przyznam się redaktorowi, że mnie się nigdy w głowie pomieścić nie mogło, jak oni się do tego biorą...

— A pan myśli, że ci wszyscy panowie, którzy wypisują tomy rozmaitych szkiców, obrazków, nastrojów wojennych, to oni kiedykolwiek widzieli bitwę czy też wogóle wojnę zbliska?! O ma pan tutaj feljeton, w którym autor zaczyna: „piszę na bombie rosyjskiego lotnika, która nie wybuchła“... To pan wierzy doprawdy, że ten pan widział inną bombę oprócz bomby piwa?!... Panie kochany, żołnierze na polu walki mają co do innego do roboty, jak „robienie“ literatury! Ale któż się o to troszczy, czy to naprawdę tak było, jak się opisuje... Od czegoż wolna fantazya autorska?! Publiczność żąda od nas aktualnej sensacyi i tę jej dać musimy! Rozumie pan to przecież... No, mam nadzieję, że wkrótce zjawi się pan u mnie z jakim manuskryptem, który będziemy mogli zużytkować! Wie pan co, możeby na początek jaki „list z rowów strzeleckich“?... To względnie najłatwiejsze, a podoba się ogromnie... Wychodzą zbiorowe wydania takich listów i publiczność je rozchwytuje...

— Postaram się, panie redaktorze, chociaż wątpię...

Pan Andrzej Cieciorko wyszedł z bramy domu, w którym się mieściła redakcya „Wrzasku“ krokiem powolnym, melancholijnym... Machinalnie obracał trzymaną w ręku tekę i smutnie kiwał głową...

— Wojna! — szepnął sam do siebie — i pocóż ta wojna... A tak było dobrze...

W istocie panu Andrzejowi było przed wojną wcale dobrze...

Chociaż bieda polskiego „chudego literata“ stała się przysłowiową, nie mógł jednak pan Cieciorko na dolę swoją zbytnio się uskarżać... Krezusem wprawdzie nie był, ale taczkę życia codziennego pchał z niezgorszem powodzeniem...

Pisywał tkliwe, wzruszające powieści i nowele, zawierające najczęściej historyę miłości pięknych, bogatych paniczów ku równie pięknym, szlachetnym, lecz ubogim dziewczętom...

Czasem bohater przezwyciężał wszystkie przeszkody, pokonywał opór rodziny, łamał przesądy swego otoczenia i poślubiał ukochaną...

Innym razem bogaty panicz ulegał złym wpływom i porzucał piękną ubogą bohaterkę... Ale wtedy zawsze przychodziła Nemezis i czytelnik kończył powieść czy nowelę z uczuciem pełnej moralnej satysfakcyi.

Niekiedy dla odmiany kazał pan Andrzej bogatej, zawsze bardzo szlachetnej i nieco ekscentrycznej pannie (ekscentryczność ta była trzymana w bardzo umiarkowanych granicach) pokochać ubogiego a dumnego młodzieńca...

Jeżeli zdarzyło się czasem, że do powieści swojej wprowadził jakiś konflikt małżeński, to zawsze po wielu zawikłanych perypetyach dopływał z nim do spokojnej przystani...

W ostatnim rozdziale poważnieni małżonkowie dochodzili do zupełnego porozumienia wzajemnego...

No i wszystko było dobrze...

Publiczność była zadowolona, pan Andzej również, a co najważniejsze elegancka pani Andrzejowa, która wydawała bardzo dużo pieniędzy na swoje tualety...

A dzisiaj poraz pierwszy zwrócono mu skrypt z oświadczeniem, że publiczność nie chce już czytać tych miłosnych historyi...

— Teraz, panie, miłość nie ogrzana ogniem szrapneli i granatów, to żadna miłość! — rzekł mu na odchodnem redaktor. — To było dobre dawniej przed wojną! Wtedy wystarczały lilie, róże, słowiki, teraz muszą być granaty, szrapnele, karabiny maszynowe... Bez tego ani rusz...

Więc żądają od niego, Andrzeja Cieciorki, aby się stał wieszczem wojennym!... Od niego, którym wzgardziły wszystkie komisye asenterunkowe, który nie czuł w sobie żadnych instynktów wojowniczych i w dzieciństwie nawet nie znajdował upodobania w zabawie blaszaną szabelką i żołnierzami z ołowiu...

Czytał wprawdzie opisy bitew w powieściach historycznych i niektóre współczesne obrazki wojenne, ale interesował się tem w stopniu bardzo umiarkowanym... Nigdy nie zaprzątał sobie nimi głowy na tyle, aby wytworzyć sobie jasny obraz wojny...

Wiedział, że wojna współczesna przedstawia się inaczej, aniżeli w powieściach z epok minionych, ale na czem polega ta różnica, z tego nie zdawał sobie dokładnie sprawy...

Skłopotany, zafrasowany przyszedł pan Andrzej do domu i zwierzył się ze swych trosk żonie...

Pani Julia zmierzyła męża pogardliwem spojrzeniem...

— I taki człowiek chce być literatem, a nie umie napisać tego, co piszą dziesiątki innych ludzi, którzy także nosa poza miasto nie wytknęli... Masz takiego Łapczykiewicza!... Przed wojną chodził w butach nie do pary i nie miał korony w kieszeni, a teraz przejdź się po kawiarniach... Wszędzie go pełno, ubrany elegancko i wiecznie otoczony rojem wielbicieli... Zapytasz może, co się stało, skąd taka odmiana? No, napisał wiersz „Wśród ryku granatów, wśród świstu szrapneli“... i obwołali go wieszczem, geniuszem... Albo taki Fąfara... kto o nim wiedział przed wojną?! A teraz? Autor znany, czytany, wychwalany! Dzienniki nie piszą o nim inaczej, jak „nasz wybitny“... „nasz utalentowany“... Żebyś ty widział, jakie jego żona nowe okrycie pluszowe sobie sprawiła... Bo on pisze jeden obrazek wojenny za drugim... A czy on kiedy widział wojnę?! Chyba malowaną albo na fotografii... Ale to są ludzie z głową, a ty jesteś niedołęga, rozumiesz, niedołęga!...

Energiczna admonicya żony podziałała, podnieciła ambicyę autorską pana Andzeja.

— Piszą inni — rzekł — będę pisał i ja...

Zaraz po obiedzie zamknął się w swym pokoju, aby pracować...

Pamiętny wskazówek redaktora, zabrał się do pisania listu z rowu strzeleckiego...

Pisał więc:

„Najdroższa! Posyłam ku Tobie białego gołębia tęsknoty, niechaj na śnieżnych skrzydłach przyniesie Ci pragnienia serca mojego i marzenia moje o Tobie... Żyję tutaj samotny, opuszczony... Dni moje jednostajne, jak tykotanie zegara, smutne, jak rozpłakany dzień jesienny... Tęsknię, a myśl o Tobie dodaje mi sił do zniesienia trudu tego żywota“...

Zegar wydzwonił godzinę czwartą, przypominając panu Andrzejowi o umówionem spotkaniu z pewnym mecenasem literatury...

Literat przerwał więc swoją robotę i wyszedł z domu, pozostawiwszy na biurku zaczęty „list“.

Kiedy wieczorem powrócił, drzwi otworzyła mu żona... Zaledwie rzucił na nią okiem, już wiedział, że zanosi się na jakąś burzę... Czoło pani Julii przyznała groźna zmarszczka, a oczy ciskały błyskawice...

Pan Andrzej zdziwiony czekał, skąd padnie grom... Nie czekał długo... Gwałtownym ruchem ręki wyjęła z za bluzki ową pozostawioną na biurku kartkę papieru i podsunęła ją pod sam nos mężowi.

— A to co, nędzniku?! — krzyknęła potrząsając papierem — Tegom się doczekała? Masz kochankę?! Zdradzasz mnie, oszukujesz?! „Białego gołębia tęsknoty“ posyła do niej! Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś mi kupić nowego kapelusza! Ale poczekaj! ja ci tego nie daruję! Zemszczę się! zobaczysz!...

— Ależ, Julciu! — zawołał pan Andrzej przerywając potok słów rozgniewanej żony — ja niemam żadnej kochanki... Gdzie mnie w głowie kochanki... To jest poprostu „list z rowu strzeleckiego“, który zamówił u mnie redaktor „Wrzasku“.

Pani Julia spoglądała kolejno to na „list“, to na męża, jakby usiłując wybadać, czy mówi prawdę.

Po chwili, przekonana widocznie o prawdzie słów mężowskich, wybuchnęła głośnym śmiechem...

— Ależ człowieku! — zawołała — na to nie da się przecież wziąć najnaiwniejszy nawet czytelnik... Tu przecież słowa niema o wojnie! Skądże się kto domyśli, że to ma być list z rowu strzeleckiego?

— No, toby się przecież podpisało... — odparł zakłopotany trafną uwagą żony literat.

— Sądzę, że to chyba zamało...

— Pan Andrzej uznał w całej pełni słuszność słów pani Julii i tak się tem zafrasował, że stracił zupełnie apetyt do kolacyi.

Długo w nocy nie mógł zasnąć, rozmyślając, jakby tu wybrnąć z zadania, które mu postawił redaktor.

— Trzeba się wpierw przygotować — zadecydował wkońcu — tyle się teraz pisze o wojsku i o wojnie... Muszę to wszystko przeczytać, przestudyować, a może wówczas uda mi się myślą przenieść w okopy strzeleckie, na pole walki...

Nazajutrz udał się pan Andrzej na wędrówkę po księgarniach... Przeszukiwał i zakupywał wszelkie możliwe wydawnictwa, traktujące o wojskowości i wojnie... zatem podręczniki terenoznawstwa, broszurki o gatunkach i ilości wojsk, o lotnictwie, o łodziach podwodnych... zakupił mapy wszystkich terenów wojny, cały komplet tygodnika wojennego „Szrapnel“, cykl nowel wojennych „Przez gruzy, zgliszcza, popioły“, książkę o słynnych szpiegach wojennych wszystkich czasów...

Zatopiony w przeglądaniu i dobieraniu książek, nie zwrócił uwagi na podejrzliwe spojrzenia subjekta w księgarni, który jakoś dziwnie z pod oka przyglądał się mizernemu, chuderlawemu człowiekowi, objawiającemu tak wielkie zainteresowanie wojskowością...

Pan Andrzej powrócił do domu, obładowany książkami, jak dromedar i skwapliwie zabrał się odrazu do ich wertowania.

Czytał i czytał, ale im dłużej pławił się we krwi, którą ociekały „aktualne“ utwory, im usilniej starał się wniknąć w tajniki techniki wojskowej, tem mniej z tego wszystkiego rozumiał.

Przeciwnie, z rozpaczą czuł, że w głowie jego powstaje jakiś opętańczy chaos.

Owidyusz powiedział wprawdzie, że z chaosu wyłonił się świat, ale nieszczęsny literat poczynał powątpiewać, czy w jego mózgu wyłoni się temat do „wojenej“ noweli.

Nie ustępował jednak z placu boju i właśnie studyował urządzenia łodzi podwodnej, kiedy u drzwi wejściowych ktoś ostro zadzwonił.

Pan Andrzej zatopiony w czytaniu nie zwrócił na to żadnej uwagi, ale po chwili posłyszał zbliżające się ku drzwiom jego pokoju szybkie kroki.

Drzwi otwarły się i ukazała się w nich pani Julia, blada i strwożona, a za nią jakiś nieznajomy pan z bardzo poważną miną.

— Przepraszam pana — zaczął nieznajomy, bystrem spojrzeniem obejmując biurko założone książkami i mapami. — Ale przychodzę w urzędowej sprawie... Jestem ajentem policyi... Proszę iść ze mną...

— Dokąd? — wyjąkał pobladły pan Andrzej, trzęsąc się z przestrachu.

— Do dyrekcyi policyi... — brzmiała odpowiedź.

— Ależ dlaczego?! poco?!

— Nie mogę panu udzielić żadnych wyjaśnień... Przykro mi bardzo, ale muszę spełnić mój obowiązek...

Proszę pana ze mną...

W domu państwa Cieciorków zapanował rwetes, lament, trudny do opisania...

Pani Julia szlochała spazmatycznie, dzieci krzyczały wniebogłosy, służąca przyłączyła się także do ogólnego lamentu...

Pan Andrzej drżącemi rękami włożył palto, kapelusz i ze spuszczoną, jak skazaniec, głową udał się za ajentem policyjnym...

Z sercem bijącem trwogą, z głową pełną najczarniejszych a jak najmniej prawdopodobnych przypuszczeń wstępował na schody gmachu dyrekcyi policyi..

Weszli za ajentem na pierwsze piętro, potem na drugie — przeszli jeden korytarz, później drugi, trzeci...

Panu Andrzejowi zdawało się, że ta droga trwa bez końca... Nareszcie ajent wprowadził go do obszer-

nego pokoju, gdzie za stołem siedział poważny pan z bokobrodami.

Był to komisarz Z. Z ust jego dowiedział się pan Andrzej, że toczy się przeciwko niemu dochodzenie śledcze o szpiegostwo na skutek doniesienia.

Literat zdumiał się i przeraził, próbował tłómaczyć się, ale komisarz oświadczył mu, że wezwie go do przesłuchania w stosownej chwili...

Pana Andrzeja odprowadzono do osobnego pokoiku i pozostawiono na pastwę samotności i czarnych myśli.

* * *

Nazajutrz sprawa wyjaśniła się.

Okazało się, że zrobiono na niego doniesienie z powodu, „podejrzanego“ zachowania się przy skupywaniu wszelakich podręczników wojskowych i map.

Pan Cieciorko, dowiedziawszy się o co chodzi, odetchnął lżej. Szczerze, niczego nie ukrywając, przytoczył komisarzowi swoją rozmowę z redaktorem „Wrzasku“ i powołał się na jego świadectwo.

Wezwany telefonicznie redaktor zjawił się w gmachu dyrekcyi policyi i co do joty potwierdził zeznania literata.

Pana Andrzeja wypuszczono na wolność, przy czem komisarz przeprosił go w grzecznych słowach za fatalne nieporozumienie.

— No cóż, panie Andrzeju — rzekł redaktor, kiedy znaleźli się na ulicy — nieszczęśliwy początek, prawda? Ale niech się pan tem nie zraża, koniec wieńczy dzieło...

— O nie! — westchnął pan Andrzej — ja stanowczo nie mam talentu na „wojennego“ literata! Niech sobie tam inni zbierają na tem polu laury, niech staczają bitwy na papierze, przelewają rzeki krwi, huczą gromami, świszczą kulami... Ja na czas wojny składam pióro autorskie i zgłaszam się na dyurnistę do magistratu!

Stacya zborna Legionów w Budapeszcie.

Wśród licznych instytucyi legionowych, rozrzuconych zarówno po Galicyi i w Królestwie Polskiem,



Stacya zborna Legionów w Budapeszcie: Kolendy przy drzewku w czasie świąt Bożego Narodzenia.

jak i wewnątrz monarchii, od szeregu miesięcy istnieje w Budapeszcie stacya zborna dla Legionistów, wracających ze szpitali węgierskich. Kapitan Łuczyński, dawny komendant stacyi, uzyskał od miasta Budapesztu okazały budynek w śródmieściu (Muzeum-Körut 11.), który 3. października roku ubiegłego poświęcił biskup Bandurski w obecności reprezentantów N. K. N. i przedstawicieli społeczeństwa węgierskiego. Wtedy to zaszczycił stacyę swą obecnością prymas Węgier, kardynał Csernoch.

Obecny komendant stacyi, kapitan Pasławski, dokłada starań, by Legionistom, zażywającym tam krótkiego wypoczynku, zapewnić możliwe wygody, a w czasie ubiegłych świąt, aby uprzyjemnić Legionistom tę uroczystą chwilę, urządził dla nich obchód gwiazdki i wspólną wieczerzę wigilijną.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcia z tych uroczystości, jak również z poświęcenia stacyi przez ks. biskupa Bandurskiego.

Na pole walki.

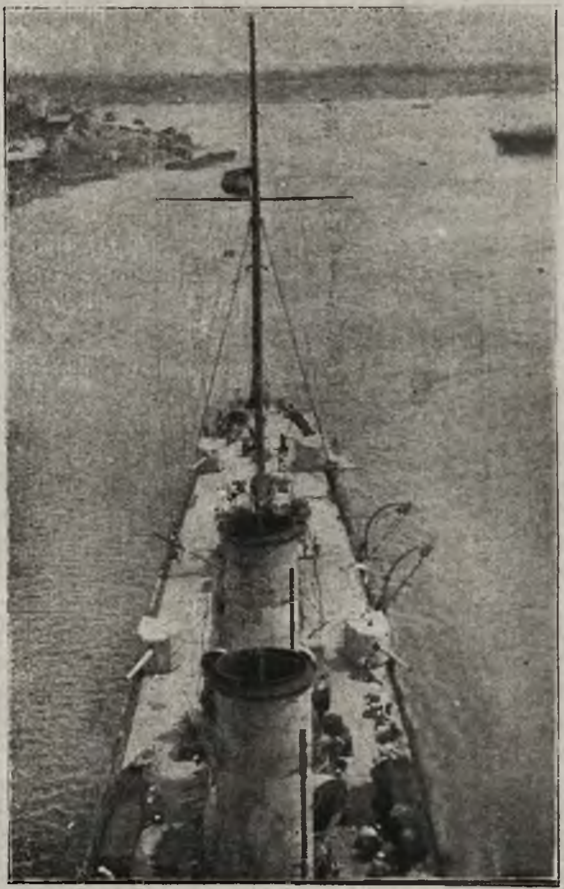
W bladem świetle poranku stanęły w szyku zwarte szeregi. Stara to wiara — prawie sami wytrawni żołnierze, którzy nie raz, nie dwa śmierci w oczy zajrzeli. Widziały ich: Nadwórna, Hwozd, Mołotków, Łowczówek, Krzywopłoty, Rokitna, Jastków...

Komendę batalionu objął kapitan Michał Karasiewicz Tokarzewski. Stanął przed szeregami — zagrały trąbki, rozległa się komenda:

— Batalion baczność!

Nadjechał pułkownik Zieliński — kapitan Karasiewicz odebrał raporty od kompanijnych. Kolejno wystąpili komendanci kompanii — porucznik Bolesław Pikusa, porucznik Michał Romaniszyn, szczery żołnierz, bohater z pod Sokołówki i Zadąbrówki, wreszcie chorąży Jędrychowski. Następnie kapitan Karasiewicz zdał raport pułkownikowi.

Scisnęły się szeregi — przed frontem zjawił się kapelan ks. Strzemecki. Rzewnemi słowy pożegnał odchodzących na plac boju Legionistów. Krótkie, prawdziwie żołnierskie było przemówienie pułkownika Zielińskiego. Gromki okrzyk: „Niech żyje Polska! niech żyje nasz pułkownik!“ był odpowiedzią na jego przemowę.



Wojna na morzu: Widok krążownika „Helgoland“ z „bocianiego gniazda“.

— Kolumna czwórkowa na pierwszą kompanię! Maszerować! — rozległa się komenda.

Szeregi zwinęły się w pochodową kolumnę i ru-



Z polskich pobojowisk: Zburzone domy w Małogoszczu. (Fot. rotm. Wróblewski)





Stacya zborna Legionów w Budapeszcie:
Przy drzewku. Od lewej ku prawej stoją pp: kap. Pasławski, T. Stamirowski, del. N. K. N chorąży Rick, dr. J. Dąbrowski, Karol Banyai, znany tłumacz powieści polskich.

Wieczerza wigilijna.

szyły ku stacyi

Na zamieszczonej w dzisiejszym numerze fotografii widzimy oficerów, którzy wyruszyli w pole. Są tam i „Piłsudczycy" i stare lwy karpackie. A więc: kapitan Michał Karasiewicz Tokarzewski, porucznicy: Stanisław Sawa Machowicz, Tadeusz Zubrzycki, Bolesław Pikusa, Michał Romaniszyn, podporucznicy: Eugeniusz Wyrwiński i Karol Rybasiewicz, chorążowie: Jan Doboszyński, Józef Gołąb, Józef Kwaciszewski, Henryk Bigoszt, Stefan Jędrychowski, Karol Stettner, Szemli-Firlicz i Ksawery Stefański, podchorążowie: Józef Łapicki i Edward Karaś, oraz lekarze: Ludwik Ramult i Jan Rutkowski.



Na pole walki: Oficerowie batalionu uzupełniającego.

Polska artylerya.

Pełne zapału i nadziei, lecz licho uzbrojone (Werndlami) szły pierwsze oddziały strzelców polskich do Królestwa Polskiego. Dziś Legiony, należycie zorganizowane i uzbrojone, walczą na wschodnim froncie, tworząc już potężną jednostkę bojową, która we wszystkich momentach walki z Rosyą odegrała wybitną rolę. Wszystkie rodzaje broni zdobyły tu zasłużoną sławę. Legendy krążą już o czynach polskiej kawaleryi, chlubne karty w dziejach obecnej wojny zapisała polska piechota, a nie ustępuje im w męstwie i sprawności wojskowej najpóźniej zorganizowana artylerya Legionów. Najmniej może głośna, ma równy niewątpliwie udział w trofeach, jakiemi pochlubić się mogą Legiony polskie.

W szeregu licznych illustracyi, jakie zamieściliśmy dotychczas z bojowej działalności Legionistów, w dzisiejszym numerze podajemy kilka zdjęć z polskiej artyleryi. Jedna z naszych fotografii przedstawia grupę oficerów I. pułku artyleryi Legionów polskich, w chwili wyruszania na pozycyę z dotychczasowego miejsca postoju. Na fotografii tej widzimy między innymi kapitana Rożena, porucznika Szally'ego, adjutanta majora Brzozy-Brzeziny, lekarza pułkowego dra. Kunickiego, posła do Rady państwa ze Śląska.

Dr. Kunicki ostatni opuścił stanowisko, żegnany z żalem przez ludność miejscową, której mimo ogromu





Polska artylerya:
Grupa oficerów I. pułku artyleryi przed wyruszeniem na nową pozycyę. (X) kap. Rożen, (XX) dr. Kunicki, poseł do Rady państwa ze Śląska.

Armata I. pułku artyleryi Legionów polskich przed wyruszeniem z miejsca postoju na nową pozycyę.



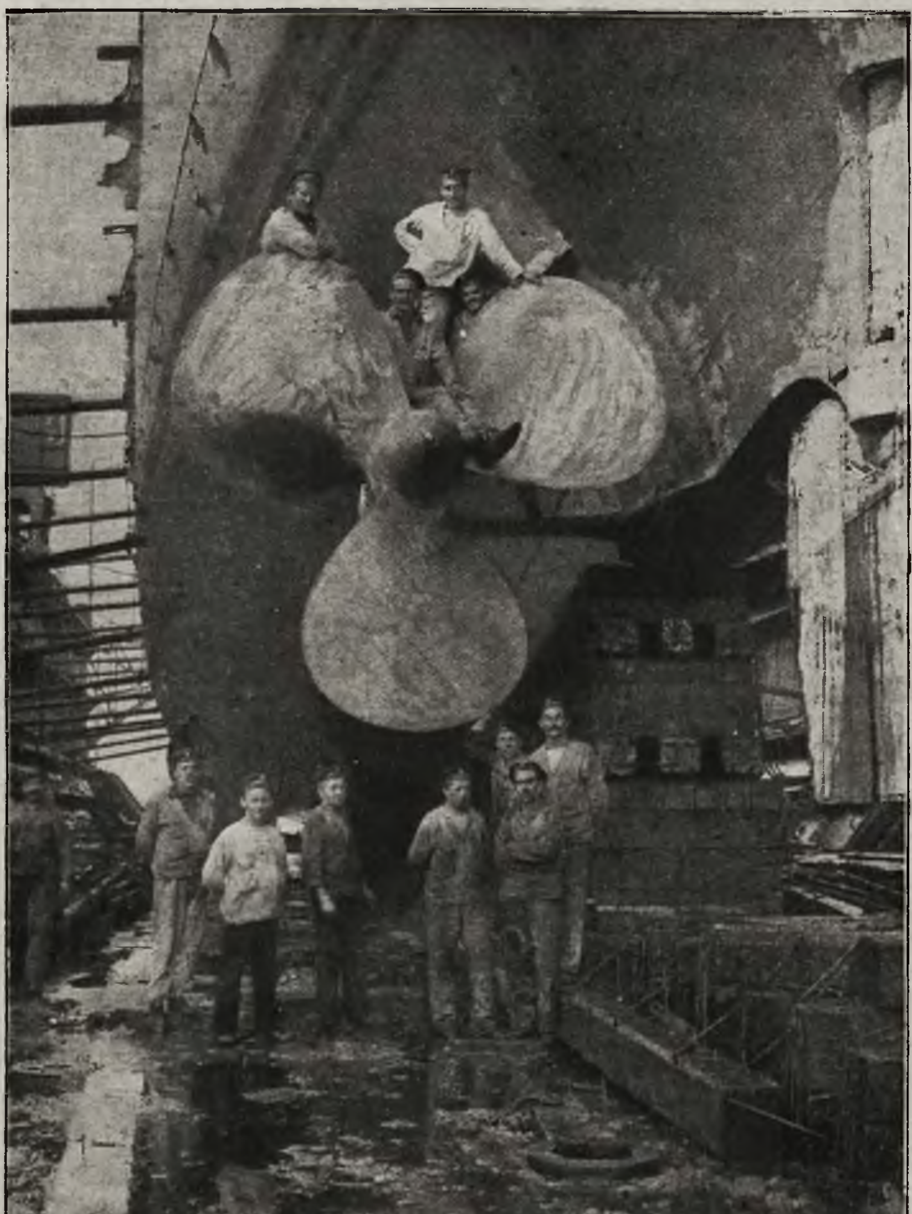
Stacya zborna Legionów w Budapeszcie: Uczestnicy uroczystości poświęcenia stacyi z ks. biskupem Bandurskim w pośrodku.

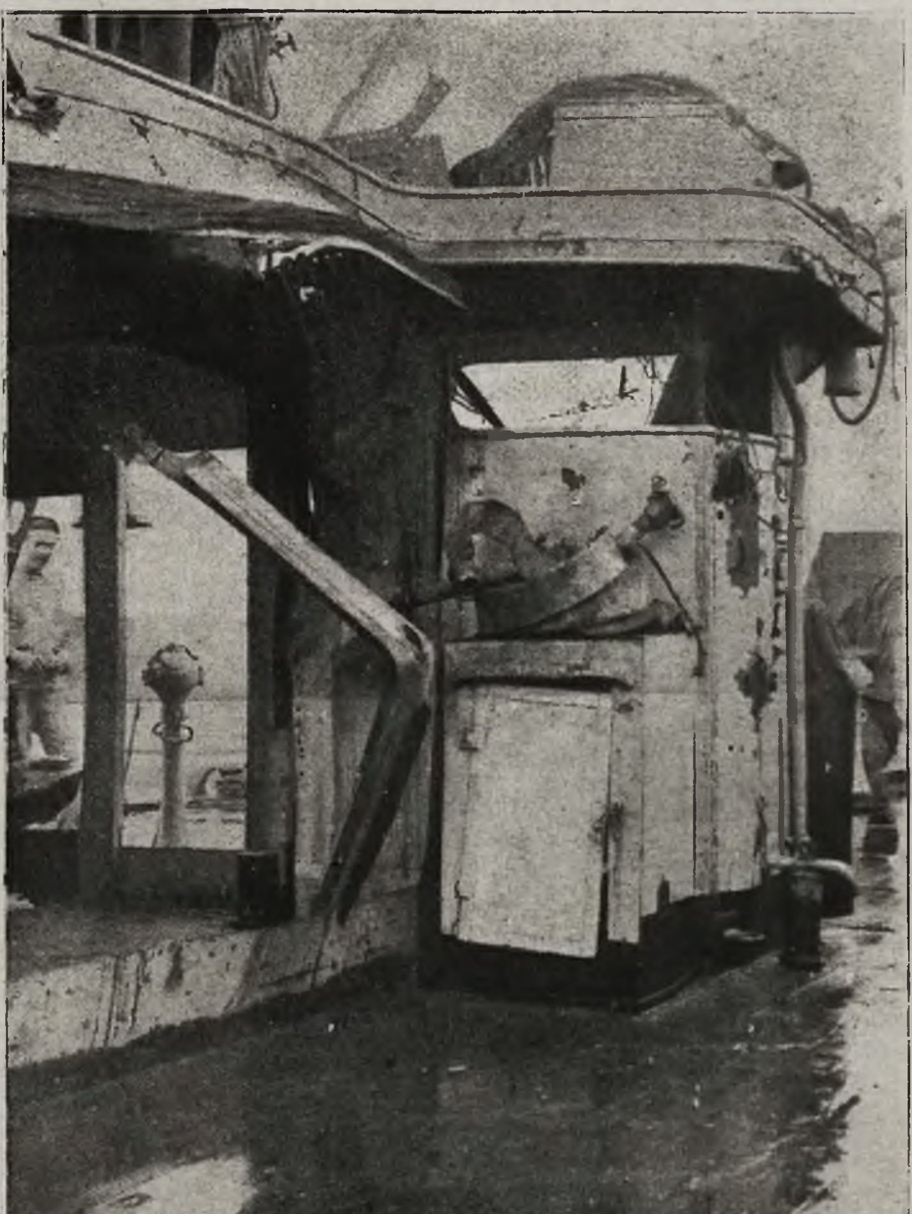
pracy, z całem zaparciem niósł bezinteresowną pomoc lekarską.

Zaznaczył się też wybitnie major Brzoza-Brzezina, znakomity organizator i wytrawny żołnież, który nie ustaje w pracy, planem wytkniętej. Zelazna ręka i wola, wielkie doświadczenie bojowe, zapisały chlubnie nazwisko majora Brzozy, jako twórcy tej, od czasów Böhma pierwszej polskiej artyleryi, wskrzeszonej na nowo do walki

Wojna na morzu.

Wojna obecna sprowadzi niewątpliwie gruntowną zmianę zapatrywań ua znaczenie kampanii morskiej i taktykę walk morskich. W chwili wybuchu wojny





Naprawa okrętu w dokach. **Wojna na morzu:** Pokład okrętu po uderzeniu granatu.

obowiązywał jeszcze dogmat „okrętu olbrzyma“: wszystkie mocarstwa morskie wytężały też siły prawie wyłącznie w kierunku budowania już nie dreadnoughtów, ale hyperdreadnoughtów, statków o pojemności 30—35.000 ton, opatrzonych w pancerze, których największe pociski nie mogły przebić, uzbrojonych w działa, niosące na 12 — 15 klm. Z takich i niewiele mniejszych okrętów składa się flota angielska, mająca do spełnienia podwójne zadanie: ochraniać własną flotyllę handlową i blokować brzegi nieprzyjacielskie. Przebieg wojny okazał, że tylko ten drugi cel może być osiągnięty, i to nie zawsze z jednakowym skutkiem, natomiast ochrona floty handlowej jest po większej części iluzoryczną.

Wielkie pancerniki znalazły się wobec trzech równie groźnych przeciwników: torpedowców, min pływających i łodzi podwodnych. Pierwsze dwa były już wypróbowane podczas kampanii rosyjsko japońskiej; miano już wystarczające pojęcie o ich doniosłości i o środkach, jakich należy przeciw nim używać. Miny pływające i zaczepione na kotwicach stanowią najskuteczniejszą obronę brzegów, a zagrody z min mogą zatrzymać atak najliczniejszej i najlepiej uzbrojonej floty. Można jednak je wyławiać za pomocą małych, specyalnie do tego urządzonych statków (tralery), o ile zaś są zawieszone na kotwicach, łatwo wybadać ich położenie i unikać przejazdu nad niemi. W każdym razie kampania morska w Dardanelach została rozstrzygnięta głównie przy pomocy min pływających, które niesione prądem, idącym z morza Marmara do morza Egejskiego, zatopiły kilka angielskich i francuskich pancerników i zmusiły całą eskadrę do zaniechania dalszej walki.



Z zachodniego frontu: Prezydent republiki francuskiej Poincare (X) w rowie strzeleckim



Wojna na morzu: Wyspa Pelagosa u wybrzeży dalmatyńskich podczas bitwy. Na brzegu widać białe dymy pękających pocisków.



Wojna na morzu: Ładowanie węgla na okręt.

Przeciwko paciskom torpedowców wynaleziono siatki druciane, w które jest obecnie zaopatrzony każdy większy statek wojenny. Zanurzają się one o 1—2 m. pod wodę i zatrzymują każdą torpedę, wypuszczoną z torpedowca, która w tej największej głębokości szybuje pod wodą. Natomiast wobec napadu łodzi podwodnych największe statki są prawie bezbronne, bo najpierw nie mogą przewidzieć ich zbliżenia się, a następnie nie posiadają żadnych środków do uchylenia ciosu, wymierzonego przeciwko nim od dołu. Łodzie podwodne istniały już przed wojną w dość znacznej liczbie, zwłaszcza w Anglii i Francyi. O podwodnej niemieckiej flotylli wiedziano nie wiele, pokazało się tymczasem, że jest ona nie tylko bardzo liczna, ale że użyto w niaj nowych technicznych ulepszeń, których Anglicy i Francuzi jeszcze nie zastosowali. Miało to wielkie znaczenie dla przebiegu całej wojny morskiej.

Na początku, wobec olbrzymiej przewagi angielskiej, eskadry pancerne niemieckie ukryły się w swoich wielkich portach wojennych w Wilhelmshafen i Kilonii, gdzie zasłonięte zagrodami z min, bezpiecznie oczekiwały na rozwój wypadków. Tylko chyże krążowniki niemieckie, rozproszone po wszyst-



Z Królestwa Polskiego: Wigilia w szpitalu Czerwonego Krzyża w Kielcach.

kich morzach, zaczęły zawzięte polowanie na angielskie statki handlowe, wyrządzając ogromne szkody. Ta jednak partyzantka nie mogła trwać długo, gdyż statki wojenne zależne są od węgla; z chwilą wyczerpania zapasów paliwa, najpotężniejsze statki tracą wszelką wartość bojową. Tak się stało z niemieckimi krążownikami, jak „Karlsruhe“, „Emden“, które wszystkie albo musiały dobrowolnie rozbroić się w portach neutralnych, albo zostały zatopione.

Zaraz jednak po zniknięciu krążowników, rozpoczęła się kampania niemieckich i austryackich łodzi podwodnych, która trwa dotychczas i tamuje skutecznie cały prawie zamorski handel Anglii. Aż do wojny panowało mniemanie, że łodzie podwodne nie mogą zbytnio oddalać się od brzegów, a w dalszych podróżach musiały im towarzyszyć inne statki wojenne dla dostarczenia zapasów paliwa, wody i żywności. Niemcy jednak wybudowali duże łodzie nowego typu, które poruszają się swobodnie w promieniu 1000 klm. i mogą nawet odbywać tak dalekie wyprawy, jak z morza Północnego do morza Śródziemnego. Nima też prawie dnia, aby telegramy nie doniosły o zatopieniu jakiegoś statku handlowego przez niemieckie „submaryny“ — a szkoda, wyrządzona w ten sposób marynarce koalicyi, przenosi już pół pół miliona ton! Nic też dziwnego, że ta ruchliwość statków podwodnych niepokoi Anglię i wywołuje silne nerwowe napięcie wśród angielskich polityków i marynarzy.

Również na morzu Śródziemnem austro-węgierska flota, zarówno łodzie podwodne, jak i wielkie okręty przyjmują wybitny i skuteczny udział w walce. Przy pomocy austryackiej artyleryi okrętowej zdobyto, jak wiadomo, górę Łowczen, stoczono również walkę morską o posiadanie austro-węgierskiej wyspy Pelagosy, przy wybrzeżach Dalmacyi. W szeregu licznych illustracyi, jakie zamieszczamy w dzisiejszym numerze z „wojny na morzu“, podajemy również fotografię wyspy Pelagosy w czasie bitwy.

Z Królestwa Polskiego.

Oczy całego społeczeństwa polskiego są dziś zwrócone na Królestwo Polskie, którego zajęcie przez armie sprzymierzone stanowiło niewątpliwie najdonioślejszy dla nas moment w obecnej wojnie. Społeczeństwo tamtejsze w najtrudniejszych nawet warunkach stara się wykorzystać każdą możliwość swobodniejszego rozwoju narodowego, tamowanego dotychczas przez rządy rosyjskie. I tak, nieledwie wśród ognia walki powstaje tam szkolnictwo polskie i mnożą się placówki życia narodowego. Naturalnie, w szczęśliwym pod tym względem położeniu znalazły się części Królestwa Polskiego, okupywane przez władze austro-węgierskie. Przy czynnem ich współdziałaniu, jak również w łączności z akcyą organizacyi legionowych, zaczyna tam utrwalać się nowy bieg normalnego życia, o ile to naturalnie jest możliwe w obecnych przejściowych czasach wojennych.

Brak dotychczas normalnej ułatwionej komunikacyi nie pozwala nam jeszcze należycie odzwierciadlać panujące obecnie w Królestwie Polskiem stosunki. W miarę możności jednak notujemy wszystkie przejawy tamtejszego życia, zarówno na niwie pracy społecznej, jak i ze stosunków wojskowych. W dzisiejszym numerze zamieszczamy też kilka illustracyi, mianowicie z uroczystości świątecznych w Kielcach (wigilia w szpitalu Czerwonego Krzyża) i w Jędrzejowie, skąd piszą nam:

Urządzenia choinki w Jędrzejowie, Sędziszowie i Wodzisławiu dla ubogiej dziatwy — oto najnowszy dowód pamięci dla maluczkich. Uroczystość choinki w Jędrzejowie wypadła nadspodziewanie dobrze. Z niemałym wysiłkiem pracy urządziło ją nauczycielstwo miejscowe. Na program złożyły się pieśni i deklamacye patryotyczne. Około pół tysiąca dziatwy obdarzono podarunkami z bogato przystrojonego drzewka.

W uroczystości wzięli udział komendant obwodu pułkownik Hofsass wraz z adjutantem kapitanem Hulke, burmistrz miasta Hupert, starosta Leurman, inspektor szkolny Kaczorowski i inni.

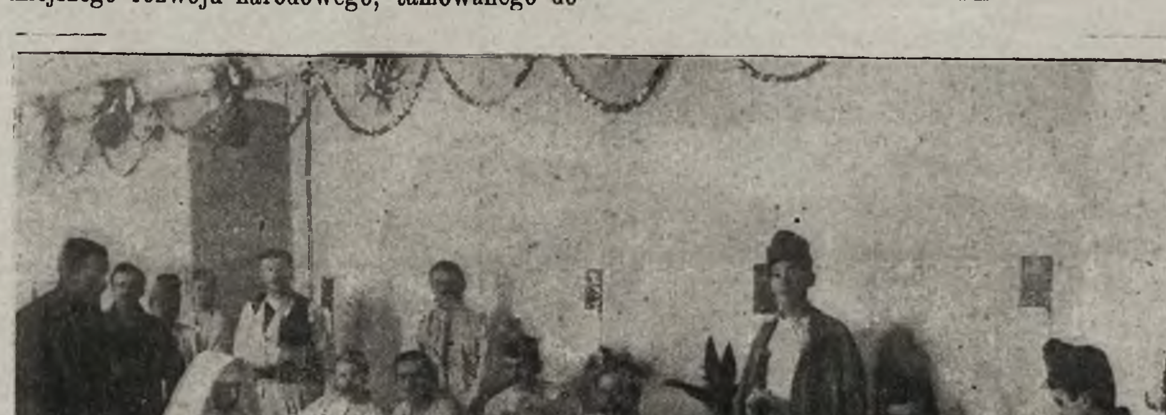
Przy tej okazyi należy wspomnieć wogóle o działalności dodatniej komendanta jędrzejowskiego obwodu jaką pułkownik Hofsass w tym okręgu roztoczył. Nie dziw więc, że tak koła włościańskie, jak też i inteligencya nie szczędzą mu wyrazów uznania i wdzięczności.



Z Królestwa Pol.: Gwiazdka dla dzieci w Jędrzejowie Siedzą pp: burmistrz Hupert, starosta Leurman, kom. obw. Hofsass, insp. szkol. Kaczorowski, naucz. Merta, adjutant Hulke.



Wojna na morzu: „Dreadnought“ austro-węgierski typu „Viribus Unitis“ na morzu Adryatyckiem.



Z Królestwa Polskiego: Sala chorych w szpitalu Czerwonego Krzyża w Kielcach.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

31

Markiza odgadła łatwo, że wesołe słowa Allana pokrywały głębokie wzruszenie i radość. I ona czuła, jak żywe, radosne uczucie ogarnęło całą jej istotę, uczucie zrodzone na niespodziewanej nadziei! Czy to być mogło, aby Kermorowie, uwolnieni na zawsze od strasznej zmory, w osobie bankiera de Bressien, odżyli, zmartwychwstali na nowo, w całej pełni dawnego dobrobytu i szczęścia?

— Interes udał się wyśmienicie — ciągnął dalej Allan. — Panna de Bressien została moim dowodem zaskoczona, przybita i tak zmiażdżona, że nie ośmieliła się już przeczyć. Zrzuciła z siebie maskę, a to, co było pod nią, naprawdę było bardzo brzydkie i głupie.

— Rzeczywiście — oświadczyła markiza — odkrycie tej brzydoty napełniło mnie obrzydzeniem. Nie zapomnę nigdy tej chwili, zaręczam panu.

— Ale nie będzie pani czuć do mnie żalu, że to się stało przezemnie, nieprawdaż?

— Przeciwnie, wdzięczna jestem panu. To była dla mnie rzecz nieoceniona. Uwolniłeś mnie pan od przykrego snu. Niech pan pomyśli, że mój Henryk mógł był poślubić tę niegodną dziewczynę.

— Pani Markiza nie wie jeszcze wszystkiego. Proszę przeczytać ten cenny dokument, a już cały podstęp tej pięknej bankierówny i jej ojca wiadomy pani będzie. Jest to szczęśliwy rezultat mojej całodziennej pracy, z której naprawdę dumny jestem.

Allan podał markizie zeznanie Andrzeja Delrue i bacznie śledził wrażenie, jakie na niej ono uczyni.

W miarę czytania twarz markizy wyrażała zdumienie, przestrach i oburzenie.

— Ach, nędznicy! — zawołała w końcu, drżąc ze wzruszenia. — Co oni uczynili z tą biedną dziewczyną. Ona w więzieniu! Nie, to nie do wiary!

— Cierpienia jej skończyły się już, zapewniam panią — wyrzekł poważnie Allan — przysięgam, że odtąd tylko szczęśliwą będzie.

Markiza raz jeszcze przeczytała nieszczęsny papier, jak gdyby nie wierząc własnym oczom. Delrue był jej zawsze niesympatycznym, ale nie przypuszczała nigdy, aby był zdolny do takiej potwornej podłości.

— Jak mógł go pan zmusić do podpisania tej deklaracyi? — zapytała, patrząc z podziwem w rozradowaną twarz Allana.

— Przyszło mi to bardzo łatwo. Naprzód mówiłem mu o rzeczach nadzwyczaj dla niego nieprzyjemnych. Wspomniałem, że jestem w posiadaniu odbitki fotograficznej sfałszowanego przez niego kwitu zastawniczego, że mogę natychmiast uczynić z tego użytek w prokuratoryi, zrujnować go, zamknąć na zawsze nowy jego bank, do którego przykłada tyle nadziei, w końcu zagroziłem mu rewolwerem. To się mu najmniej podobało, bo przy swojej podłości tchórzem jest i ceni życie.

— I byłby pan urzeczywistnił swoje pogróżki, panie Allan?

— Nie wiem doprawdy. W każdym razie coś z nim musiałbym uczynić. Następnie ofiarowałem mu milion franków za łaskawe napisanie kilku słów. Wybrał to ostatnie. Widocznie nie bardzo sprytny jest i przewidujący. Muszę przyznać, że nie pozostawiłem mu wiele czasu do namysłu. Jak się ma dobrą myśl w głowie, trzeba się spieszyć.

— Więc pozostał całkiem na łasce pana i odkrył wszystko?

— Nie potrzebował nic odkrywać, bo wszystko mi było wiadomem. Przyznał się, kłamiąc, jak najwięcej, ale to mi było obojętnem.

— Musiał mieć pan przeciw niemu broń poważną, skoro tak zakończyło się wasze spotkanie.

— To prawda. Jestem z natury ciekawy. Lubię chodzić, badać, wypytywać się. Tak robiłem wczoraj. Widziałem się z pewnym waryatem, dozorczynią domu, starym posługaczem, byłem na policyi, w więzieniu. Może pani markiza ciekawa szczegółów?

— Ależ proszę, słucham jak najchętniej.

Allan, w krótkich słowach, wtajemniczył panią de Kermor, w jaki sposób użył swojego czasu, aby jak najwięcej zebrać dowodów, kompromitujących Andrzeja Delrue. Pani de Kermor słuchała go z przerażeniem i rosnącym podziwem. Jakże Allan mógł to wszystko uczynić w przeciągu dwudziestu czterech godzin? Kiedy powiedział jej, że Janina, przebywając u pani Wiktoryi, miała opiekę i obronę w przyjaciółce swojej Luizie — markiza zawołała wzruszona:

— Ależ ona tu była! To ona napewno! Przyszłam jej z pomocą, bo skierowała ją do mnie matka Franciszka z Przytułku dla kobiet. Tego samego dnia jeszcze odwiedziłam matkę Franciszkę. Wspominała o drugiej młodej dziewczynie, blondynce, która była w więzieniu, a ja nie wiedziałam, że to nasza biedna Janina. Co za fatalność!

— Powtarzam pani, że nieszczęścia Janiny już się skończyły. Dziś jeszcze wieczorem będę w Bretanii, a jutro, o świcie, odwiedzę moją siostrzenicę.

— Niech ją pan gorąco uściska odemnie! Gdyby pan wiedział, jakie ciężkie czynię sobie wyrzuty, że mogłam ją również posądzać i nie wierzyć w jej uczciwe zamiary. Ja pojadę z panem do niej!

— Błagam panią, nie czyń tego — odparł poważnie Allan. — Nie trzeba, aby pani markiza się z nią widziała, aż będę całkiem poinformowany o wszystkiem.

— Poinformowany? Czyż pan już nim nie jest?

— Jeszcze nie, pani markizo!

Allan opowiadał dalej, nie zaniedbując najmniejszych szczegółów.

— Gdyby mój Henryk mógł pana słyszeć — przerwała mu markiza. — Gdyby mógł zeznanie to przeczytać! on, który żyje w ciągłej niepewności i rozpaczy.

— Przeczyta je za kilka godzin — odpowiedział spokojnie Allan. — Depesza już odeszła do niego. Zrujnowała mnie ona co prawda, ale trudno! Sądzę, że Henryk zwróci mi koszta tak dobrej wiadomości, nieprawdaż, pani markizo?

— Ależ oczywiście. Ale panie Allan, jeżeli pan potrzebuje na razie pieniędzy, to służę panu.

— Dziękuję pani. Dzięki Bogu mam na podobne wypadki odłożoną rezerwę. Ale skoro mówimy o pieniądzach, mam jeszcze prośbę do pani markizy.

Już z góry załatwiona, panie Allan. Proszę mi tylko prędko powiedzieć, co to takiego?

— Jest to zlecenie od pana markiza.

— Od mojego męża?

— Tak. A pani, jako żona, tego zlecenia, a właściwie rozkazu, lekceważyć nie może.

— Nie lekceważę i poddaję się z uległością, ale słowa pana dziwią mnie bardzo. Pan de Kermor nie przyzwyczaił mnie wcale do słuchania jego rozkazów.

— Otóż pan markiz żąda, aby mi pani wręczyła natychmiast papiery barona de Bressien, które mam przejrzeć i doprowadzić do porządku. Jeżeli tego zaraz nie uczynię, staną się nieprzyjemne rzeczy na bulwarze Hausmanna.

Rozkaz markiza ogromnie mnie zadziwia — powtórzyła raz jeszcze markiza.

— Panie zawsze wszystkiemu dziwić się lubicie — odparł Allan. — Niechże pani wie, że ja teraz zastępuję sekretarza Andrzeja Delrue i proszę wierzyć, że będę bardzo ciężki do przekupienia. Czy zechce mnie pani obdarzyć odrobiną zaufania?

— Odrobiną zaufania? Ależ posiada je pan w całej pełni!

— Markiz nadał mi prawo, które mógłbym spożytkować dla siebie, gdybym był nieuczciwym człowiekiem. Ale ja pragnę jego sprawy dobrze prowadzić.

— Dobrze więc, usłucham pana. Proszę, niech pan idzie za mną do gabinetu męża. Co tam takiego? — zwróciła się markiza do wchodzącego służącego.

— List dla pani markizy.

— Proszę dać. Pozwoli pan, że otworzę.

Pani de Kermor rozerwała kopertę i czytała.

— „Pani. — Niewiem, czy to szlachetnie wyrzucać za drzwi dawnych swoich wierzycieli, w chwili kiedy się zjawia nowy dostawca środków. Wobec zachowania się pani jestem zmuszona donieść, że wszelkie kwity i weksle z męża pani podpisem i pani — są złożone do kasy, a w razie nie wycofania ich do wieczora, będą jutro wręczone adwokatowi, który poprowadzi w danym kierunku sprawę. Piszę to w zastępstwie i z rozkazu ojca — Sydonia de Bressien".

Markiza podała list Allanowi.

— Niech pan przeczyta. Widzi pan, że teraz od pokierowania przez pana naszych interesów zależy wszystko.

— Sprawi mi to najwyższą przyjemność — odparł Allan. — Ho! ho! Jakim urzędowym stylem wyraża się panna bankierówna! Może się uspokoić! Dziś załatwimy wszystko! Nie damy się jej niecierpliwić. Jeszcze przed godziną drugą rozmówimy się ostatecznie! Panna Sydonia jest jednak naprawdę naiwna. Sądzi, że do jutra zwlekać będziemy. Jutro? Daleko już będę stąd. Mój automobil to nie wóz ciężarowy, dzięki Bogu!

Allan nadrabiał miną, a w gruncie rzeczy nie czuł się zadowolonym. Cierpiał głęboko nad upokorzeniem, jakie wobec niego musiała doznać pani de Kermor. Po chwili namysłu — zwrócił się do niej ze swobodnym pozornie pytaniem:

— Czy mogę prosić panią o podpis, upoważniający mnie do działania? Nie wykorzystam go, ale bez tego nic czynić nie mogę. Zupełnie normalnem będzie, jeżeli ja sam załatwię całe te rachunki, a od pani wezmę pewną gwarancyę. Bank francuski wypłaci natychmiast i skończymy z miłą rodziną de Bressien. Pieniądze są już w drodze. Depeszowałem po nie.

Allan zacierał ręce, niewiadomo tylko, czy ze złości na barona, czy z zadowolenia.

— Oto wspaniały dzień dla mnie! Baron de Bressien pospieszył się zanadto i robi zły interes, a jest nadzieja, że to już będzie ostatni.

Przeszli do gabinetu markiza, gdzie pani de Kermor wręczyła Allanowi wszystkie rachunki barona do przejrzenia.

Kiedy się już zabierał do odejścia, pani de Kermor, żegnając go serdecznie, zapytała z niepokojem w głosie:

— Więc nie mogę pana obarczyć żadnem zleceniem do Bretanii?

— Bardzo mi przykro, pani markizo, ale podjąć się tego teraz nie mogę. Popsułoby to cały mój plan misternie zbudowany.

— Życzę panu powodzenia i prędkiego powrotu, panie Allan.

— Dziękuję. Powrócę niedługo. Muszę się jeszcze raz zobaczyć z panem de Bressien. Pozwoli pani, że zadepeszuję markizowi, że zastałem panią spokojną i zdrową i że panna Sydonia zagrała w otwarte karty?

— Tak, panie Allan, proszę pana o to...

— A teraz już uciekać muszę, droga pani. Czas nagli, a dziś jeszcze mam ważne rzeczy do załatwienia.

Ucałowawszy ze czcią ręce wzruszonej markizy, wyszedł śpiesznie i wskoczył do automobilu. W niespełna godzinę zdołał wysłać długą depeszę do Henryka, uregulować rachunki w banku i wysłać do pałacyku przy ulicy Beotic wspaniały bukiet herbacianych róż, wiedząc, że są ulubionym kwiatem pani de Kermor.

I już potem automobil niczem niepowstrzymany ruszył w szalonym pędzie szeroką drogą, wiodącą do Bretanii.

Odwet.

Są ludzie, posiadający taką niezaprzeczoną wyższość i przewagę nad drugimi, iż bez trudu umieją wzbudzić w nich posłuszeństwo i uległość. Przewaga ta, czysto duchowa, graniczy z suggestyą hypnotyczną. Poddała się jej bez buntu Sydonia, znalazłszy się wobec Allana le Breun w salonie markizy de Kermor. Z własnej woli, widząc, że nie oprze się sile, która powstała przeciw niej, podążyła ku wyjściu pokornie i biernie, jak winowajca, pragnący jak najspieszniej ujść przed badawczym wzrokiem sędziego. Lęk ją jakiś ogarnął, z którego nie mogła sobie zdać sprawy. Przerażała ją myśl, że z tego domu, do którego wejść wkrótce miała jako władczyni i pani, każą ją teraz służbie sromotnie wypędzić. Dopiero, gdy znalazła się na ulicy, nastąpiła w jej nerwach reakcya. Krnąbrna jej i namiętna natura zbuntowała się przeciw narzuconej sobie obcej woli i doznanej porazce. Była wściekła na siebie za tę chwilową słabość energii i utratę zwykłej równowagi.

— Jestem podła i słaba istota! — szepnęła do siebie, wstrząsana gniewem. — Dlaczego pozwoliłam, żeby się tak stało? Dlaczego nie odpowiedziałam stosownie. Miałam przecież odpowiedź gotową.

Bez straty czasu wstąpiła do biura pocztowego i stamtąd wysłała znany nam list do markizy, poczem zdenerwowana i niezadowolona powróciła do swojego mieszkania.

Złe jej usposobienie odbiło się na całem jej otoczeniu. Służbie czyniła ostre wymówki. Ojciec jej miał za dwie godziny powrócić, a nic na jego przyjęcie przygotowanem nie było! Zatelefonowała do naczelnego dyrektora banku w kilku ostrych słowach, żeby się wstrzymał z wydaniem jakichkolwiek rozkazów na przyszłość, gdyż ster interesów obejmie lada dzień pryncypał, a był już wielki czas po temu. Wszystko ulegnie zasadniczej zmianie.

Sydonia nie wiedziała, jak uspokoić swoją nerwowość. Po godzinie bezcelowego szarpania się po mieszkaniu, wyszła i udała się do Andrzeja Delrue.

Jakiś dziwny magnes ciągnął ją do tego nędznego wspólnika. I pomimo, iż nowy i ostateczny miała dowód jego podłości i zdrady, czuła do niego mniej żalu, niż do ojca i do siebie.

— To stało się z naszej winy — mówiła do siebie. — To jest człowiek, z którym inaczej postępować trzeba było. Jest silny, a myśmy go lekceważyli. On nas rujnuje, ale robiąc to, mści się! I nic nie ryzykuje! Załatwił moją sprawę małżeńską, teraz ją rozwiązuje. Przechodzi na stronę Janiny le Brenn i grubo na tem zarobi! To człowiek z mocną głową i wytkniętym celem. Gdyby go można jeszcze dla nas pozyskać! Gdyby chciał zniszczyć to, co zrobił, odwołać i razem z nami walczyć przeciw tamtym!

W tej chwili zdenerwowania i szalonej rozpaczy Sydonia w nagrodę byłaby siebie poświęciła, aby zniszczyć jednym zamachem całą rodzinę Kermorów, Janinę i tego nowego, najstraszniejszego wroga, Allana le Brenn! Bo nigdy przewidzieć nie mogła podobnej ostateczności, aby ta mała Bretonka mogła być dziedziczką milionowego majątku.

Do uroku jej młodości i wdzięku dodawano jeszcze złotą aureolę posagu. Jakże nienawidziła tę dziewczynę, która zabrała jej serce jedynego człowieka, którego żoną zostać pragnęła. Nigdy jeszcze pragnienie zbrodni nie owładnęło nią z taką siłą, jak teraz! Bo dziś już lekceważyć wpływu tamtej nie mogła. Runęły wszystkie plany, mogące ją zohydzić w oczach młodego hrabiego, pozostawała ta sama dawna jego ukochana, wyidealizowana jeszcze do szczytu przez cierpienie i niewinnie znoszone potwarze. Dusza Sydonii miotała się szalonym buntem, pragnieniem zemsty. Już żadna ostrożność nie kładła tamy jej wściekłości. Chętnie, gdyby było w jej mocy, byłaby się posłużyła podstępną bronią apaszów — nożem.

Sydonia szła na plac Giełdy, do banku Andrzeja Delrue, spiesznym, nerwowym krokiem, oddając się całkowicie wpływowi rozkiełzanych myśli i pragnień. Instynktownie czuła, że jedynie w tym człowieku, jeżeli się go dobrze wynagrodzi, znaleźć może pomoc i zrozumienie.

Andrzej Delrue, po odejściu Allana, pozostał w swoim biurze bezsilny i przybity. Zdawał sobie niejasno sprawę, że jest człowiekiem zgubionym, idącym ku nieodwołalnej przepaści. Nie powinien był zrobić tego, co od niego żądano, a jednak na dnie jego sumienia mieściło się tłomaczenie się koniecznością. Tak! to była straszna konieczność. Najwyższe prawo, rządzące na świecie, wyższe ponad wszystko!

Miał także w posiadaniu pewne zadośćuczynienie: czek, wydany przez Allana, wartości miliona franków. W obecnej chwili Delrue mógł już posiadać majątek, wynoszący pięć milionów franków, gdyż taki kredyt wszędzie mając, już taką podstawę mógł uzyskać.

A jednak pomimo tak uroczej perspektywy, Delrue czuł, że może lada chwila utracić wszystko.

Allan le Brenn mógł jeszcze powrócić i tym razem pomówić z nim o sprawie z ulicy Entrepot. Z markizem de Kermor stosunki zerwane, Henryk nieprzyjaciel niczem nieprzejednany. Ze strony zaś bankiera de Bressen i jego córki groziła mu dorażna zemsta. A jeszcze był przecież pan Collin-Megret i pani Wiktorya, których za milczenie grubo opłacić trzeba będzie. A kto wie, jakie wymagania będą tych dawnych wspólników, dziś doprowadzonych do nędzy!

Sytuacya nie przedstawiała się więc wesoło. Było nad czem myśleć i czem niepokoić się. Nie wiedział również Delrue, ile odbitek uczyniono z jego kwitu i czy poczynione przed Allanem wyznania nie zaprowadzą go do więzienia, jeżeli z nich tamten będzie chciał uczynić użytek!

Teraz Delrue coraz żywiej wyrzucał sobie, dlaczego zgodził się na to zeznanie i na podpisanie go. Dlaczego wogóle przyznał się, że wiedział cokolwiek tyczącego się sprawy Janiny de Brenn! Nie mógł inaczej uczynić? Mógł zaprzeczyć wszystkiemu, ostrzej wystąpić! Ale znowu kategoryczne odmówić nie mógł wobec groźby rewolwera przeciwnika. A przytem był jeszcze ten czek, milion franków.

— Byłbym zarobił tę sumę — myślał Delrue — operując na akcyach kopalnianych. To Allan traci, nie ja! Zwraca mi akurat różnicę kursu.

Po chwili namysłu Delrue podszedł do telefonu i zadzwonił. Chciał rozmówić się ze swoim sekretarzem, ale nie wiedział, od czego ma zacząć rozmowę.

— Czy to pan, panie Delrue? — zabrzmiało w aparacie. — Czego pan żąda?

— Czy akcye idą w górę?

— Nie. Zastój zupełny.

— Smith z Londynu radzi mi sprzedać.

— Dobra rada. Czas najwyższy.

Ciężkie westchnienie wybiegło z piersi Andrzeja Delrue.

— No, to sprzedaj pan natychmiast — rozkazał.

Odłożył słuchawkę i ciężko usiadł w fotelu. Uśmiech goryczy i gniewu skrzywił jego usta.

— Warto być bankierem! — szepnął — tyle trudu, tyle pracy, tyle nadziei. Lepiej kamienie na ulicy łamać. Niema co! Nie trzeba się dalej łudzić! Jestem na złej drodze.

Godzina drugiego śniadania, a Andrzej Delrue nawet nie zauważył tego. Niepokój i troska o najbliższą przyszłość odebrały mu zupełnie poczucie rzeczywistości codziennej. Od czasu do czasu osłupiałym wzrokiem spoglądał na drzwi, jak gdyby w przeczuciu nowego jakiegoś nieszczęścia.

Nagle w przedpokoju rozległ się donośny i rozkazujący głos kobiecy.

— Nie potrzeba mnie meldować. Pan Delrue oczekuje mnie.

Drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Do pokoju weszła Sydonia de Bressien. Delrue nie okazał zdziwienia na jej widok. Z takim człowiekiem, jak ten niebezpieczny Allan de Brenn, wszystko musiało iść w przyspieszonem tempie. Wstał, lecz nie wychodził z poza biurka, które stanowiło teraz dla niego pewną obronę. Z ust jego wybiegło tylko jedno słowo „już“ i pochylił nizko głowę pod ciężarem katastrofy, która go czekała.

— Ładnie pan pracował przez te ostatnie godziny — rzuciła bankierówna, wyzywająco stając przed byłym swoim wspólnikiem. — Muszę panu szczerze powinszować tej roboty.

Andrzej Delrue przechodził straszne chwile. Owładnął nim nizki, podły strach. Powieki jego drżały nerwowo, a spojrzenie stało się mętne i niepewne. Błyszczące, wściekłe spojrzenie Sydonii odbierało mu przytomność umysłu.

Próbował tłumaczyć się, stawić czoło napaści i wyszeptał z trudem:

— Przecież mi pani dała zupełną odprawę. — Prawie za drzwi wyrzuciła.

— A pan się zemścił i doprowadził do tego, że mnie z kolei wyproszono z domu markizy de Kermor.

— Ja?

— Pan! Przez pośrednictwo tego szalonego Amerykanina. Zadenuncyował mnie pan najbezczelniej! Zniszczył całą moją przyszłość, zgnębił ojca! Może się pan wyprze tego?!

Delrue mimowoli spojrzał na zegar stojący na biurku. Godzina zaledwie minęła od wizyty Allana, od jego wyjścia z tego samego biura. Przewidywana katastrofa wybuchła, lecz Delrue nie spodziewał, żeby to tak prędko się stało. Jednakże jakaś nadzieja zajaśniała w jego umyśle. Sydonia więcej okazywała gniewu, niż groźby, była więc mniej niebezpieczną. Może jeszcze dojdzie z nią do jakiego porozumienia.

— Nie rządzę faktami — odparł już silniejszym głosem — ale tak, jak każdy człowiek, znoszę je. Tak, jak prawo silniejszego. Dotąd deptano mię ciągle.

— I płacono!

— Allan kazał mi wziąć zapłatę, jak niegdyś Collin Megret, pani i inni. Jestem bezsilny — siły obu stron nigdy nie są równe. Nie mogłem się mu oprzeć. Z resztą, poco miałem się opierać — dodał zuchwale, widząc, że Sydonia wyczerpana wstrząśnieniem usiadła, widocznie zmęczona i przybita. — Każdy musi chronić siebie, swojego interesu. Nie mam się z czego chwalić, bo to, co uczyniłem dla ojca pani i aby doprowadzić do związku pani z hrabią de Kermor...

— Nie mówmy o mojem małżeństwie — przerwała szybko Sydonia. Jest już na zawsze zerwane. Lepiej mówmy o małżeństwie Janiny le Brenn. Uczynił je pan teraz możliwem, a również zerwane być musi, tak jak moje. Słyszy pan, panie Delrue? Wiele się zyskuje, niszcząc swoje dzieło! i jest to odwet na nieprzyjacielu! Na człowieku, który jest panem i władcą czyjegoś życia! Otóż tym nieprzyjacielem jest od teraz dla pana Allan le Brenn! Zemścij się! Zemścij nas wszystkich, Delrue!

— Delrue bezsilnie potrząsnął głową:

— Na Allanie mścić się nie można! Czy jest sposób na to?

— Sydonia roześmiała się nienawistnie i przebiegle.

— Spsób? znam, pewny!

— A korzyść?

— Taka, o jakiej pan nie mógł nigdy nawet zamarzyć!

— Przeraża mnie pani — rzekł Delrue drżącym, cichym głosem. — Co znaczą pani słowa?

— Tę przepaść możemy złotem wypełnić — wybuchła Sydonia, zrywając się gorączkowo — i miłością naszą! Rozumiesz mnie, Delrue. Byłaby to miłość rozważna, wywołana, która stačby się mogła najstraszniejszym odwetem! — Pomyśl tylko! Związek nas obojga! Jeżeli żyć będziemy chcieli teraz każde osobno, dla siebie, zginiemy! to jasne. Ale połączenie się nasze tryumf nam przyniesie! Będzie to związek dwóch istot na śmierć skazanych!...

— Śmierć!... — wyszeptał Delrue, cofając się mimowoli. — Nie! nie chcę!

— Miłość i majątek — wyrzekła silnie Sydonia. Posag Sydonii de Bressien i posag Janiny le Brenn. Obydwa nasze banki zjednoczone i miliard Allana!

— Sydonio! to szaleństwo!

— To jest możliwość, pomyśl nad tem Delrue.

Spojrzenia ich się zbiegły, pełne obietnic, wzbudzonej zemsty i nadziei. W milczeniu zawarli ze sobą w tem spojrzeniu przymierze na całe życie. Jakiem ono będzie, nie wiedzieli jeszcze! Czuli tylko, że już teraz jedno bez drugiego, marnie na zniszczenie pójść musi! Delrue jednak w oczach Sydonii wyczytał już myśl i plan powzięty. I to, co wiedział, było straszne, ostateczne i niebezpieczne! Rozpoczynała się gra nowa, nieubłagana, na śmierć i życie!

Andrzej Delrue doznał olśnienia! On, ten parias, włóczęga bezdomny i ścigany przez władze jak zwierzę, niewolnik pokorny barona de Bressien i ciągle drżący wspólnik bandy Collin-Megret, mógł teraz stać się panem i władcą, przed którym wszyscy kornie czoła uchylać będą!... Już widział dzień, który mu otworzy drzwi do tryumfu! Kościół św. Magdaleny rzęsiście oświetlony i wyłożony dywanami, pełny kwiatów rzadkich i drogich i on w czarnem ubraniu, z podniesioną głową, kroczący pewnie i dumnie obok swojej wspaniałej, zwycięskiej narzeczonej, owiniętej w zwoje tiulów i śnieżnych koronek!... Zebrani tłumnie goście najwybitniejszego świata witali ich przyjście ukłonami i uśmiechami pełnymi szacunku i zazdrości. Pod wpływem tej uroczej wizyi przyszłości, nagła przemiana przeobraziła całą jego postać. Skórczona boleśnie twarz wypogodziła się, oczy zajaśniały blaskiem, ruchy nabrały pewności.

Sydonia badawczo i upornie patrzała na swojego wspólnika. Odrzuciła go wczoraj jak sprzęt niepotrzebny, a dziś musiała podjąć na nowo i wpleść w swoje życie!... Patrzała na niego przenikliwie, badając, czy okaże się na wysokości zadania, jakie mu powierza! Teraz już nie czuła żalu do niego, skoro godził się być nadal jej narzędziem zemsty i szalonej ambicyi...

— Delrue — odezwała się wkońcu — ojciec mój zawinił względem pana, a pan przeciw niemu... Mnie zaś zadałeś cios straszny! Co ja ci uczyniłam złego, że tak ze mną postąpiłeś?

— Nic, Sydonio, przyznaję, ale zasłużyłem chyba na lepsze wynagrodzenie, jak to, które odebrałem od was. Wyrzuciliście mnie jak lokaja z waszego domu!... Należało mi się podziękowanie, bo przecież doprowadziłem do tego, czegoście odemnie żądali.

— Przypominam, że nazajutrz zniszczyłeś rozmyślnie wszystko! Zniszczyłeś ojca. O sobie już mówić nie chcę!

— Mylisz się, Sydonio! Nie przyczyniłem się w niczem do wyjazdu Henryka.

— Kłamstwo jest niepotrzebne między nami. Zło się już stało. Lepiej teraz pomyśleć o naprawieniu go. Smierć tylko jedna jest nie do odrobienia.

— Nie kłamię. Gdybyście zamiast obrażać mnie, posłuchali mojej rady po katastrofie, bylibyście się dowiedzieli całej prawdy. Po scenie wiadomej pani u pani Wiktoryi, po aresztowaniu Janiny, poszedłem z Henrykiem na kolacyę. Henryk był nienaturalny, pił dużo, wkońcu pożegnał mnie, mówiąc, że musi koniecznie sam pozostać, gdyż chce się namyślić i rozerwać trochę. Co się właściwie stało, tego nie wiem, ale łatwo się domyślić. Musiał mieć przy sobie list od swojego towarzysza z ekspedycyi afrykańskiej, niejakiego de Saneuville. Otóż w tym liście donosił mu, że on i Allan byli w drodze na nową wyprawą i że za dwa dni będą w Boulogne-sur Mer na parowcu „Hamburg“. Prosił Henryka, żeby opóźnił swoje małżeństwo i żeby koniecznie widział się z Allanem w sprawie jego planów kolonialnych. Powtarzam pani, że w niczem nie przyczyniłem się na postanowienie Henryka. Zamiast powrócić do pałacu, Henryk pospieszył do nich.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Obrazki wojenne: Nieproszony gość w kuchni polowej.



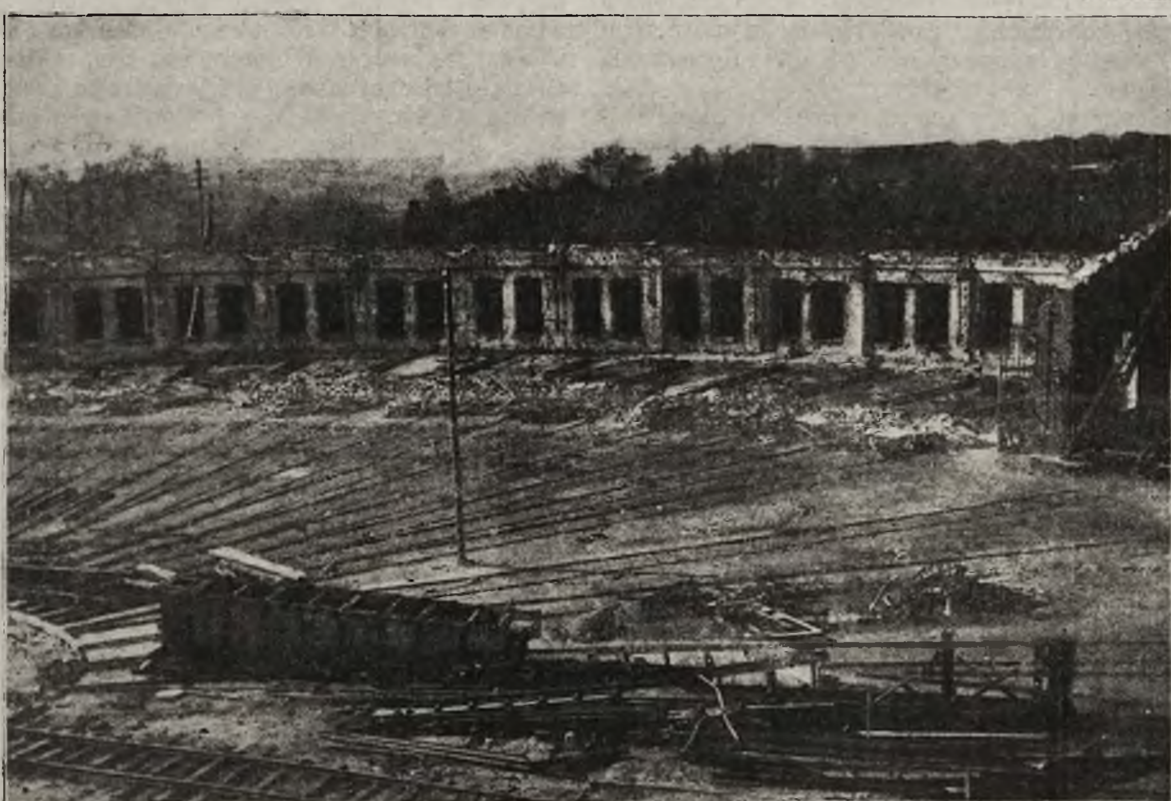
Wojna na morzu: Marynarze austryaccy na brzegu Dalmacyi.

Tarcza Legionów w Myślenicach.

W dniu 30 stycznia bieżącego roku odbyło się w Myślenicach poświęcenie i odsłonięcie Tarczy Legionów Polskich, której sprawienie jest zasługą miasta Myślenic, powiatowego Komitetu Narodowego, oraz miejscowego Koła Ligi Kobiet.

Uroczystość poprzedziło nabożeństwo w kościele parafialnym z kazaniem. Przy odsłonięciu przemawiał imieniem N. K. N. przybyły umyślnie na tę uroczystość dr Ludomir German, wiceprezydent Izby posłów, potem miejscowy ks. probosz dr. Andrzej Kościółek i burmistrz miasta Myślenic p. dr. Mikołaj Klakurka, poczem nastąpiło wbijanie gwoździ.

Uroczystość zakończył urządzony w gmachu Sokoła przez ruchliwe Koło Ligi Kobiet wieczór muzykalno-wokalny z nader urozmaiconym programem.



Z polskich pobojowisk: Zburzona remiza lokomotyw w Skierniewicach.

Stanisław Sachs.

Baletmistrz pan Stanisław Sachs to nasz dobry znajomy, znany u nas z występów opery i operetki lwowskiej. Wychowaniec słynnej szkoły baletowej w Warszawie, następnie pierwszy solista w Warszawie i Petersburgu, zagościł obecnie na stałe w Krakowie, gdzie otworzył szkołę sztuki choreograficznej.



Stanisław Sachs.

Występy jego wraz z siostrami w divertissement były prawdziwą okrasą każdej opery i operetki w Krakowie. Stali bywalcy teatralni przypominają sobie jeszcze nadobne postaci Sachsów, istne figurynki z saskiej porcelany, pełne gracyi, lekkości i finezyi — podniesione jeszcze wykwintnemi kostyumami. To też nie ulega wątpliwości, że szkoła tańców założona przez p. Sachsa w Krakowie będzie cieszyć się zasłużonem powodzeniem.



Wojna na morzu: Przegląd na pokładzie austryackiego okrętu wojennego.

Kronika tygodniowa.

W jednej z poprzednich kronik zaznaczyłem wyraźnie, że kronikarz jest „nieszczęśliwy“, czyli że prześladuje go stale los garbaty, albo tak zwany pech. Nie chciał tego jednak czy nie mógł zrozu mieć jeden z mych znajomych, mąż o długiej bardzo brodzie, który, spotkawszy niżej niepodpisanego w pewnym odcinku (gd ie, nie powiem ze względów strategicznych), zaczął go po chrześciańsku brać na kawał, twierdząc, że musi wieść życie prawdziwie brylantowe, skoro się tem nawet chwali.

Jak zaś to kronikarskie szczęście wygląda, wie chyba każdy, kto czytał poprzednie *Nowości illustrowane*. Że tam tu i ówdzie nieco skreślono, to jeszcze fraszka wobec tego. co za awanturę zrobiła mi za to moja kochana Weronisia, która dopadła gdzieś kilku ostatnich numerów, troskliwie przed jej okiem dotąd schowanych i dowiedziała się z nich o licznych ofertach małżeńskich, o owej torbie, w której noszę stale listy miłosne i t. d.

— Gdzie ta torba?! — zawołała w pasyi.

— Jaka torba?...

— Którą nosisz na sercu?

— Na sercu nic nie noszę... Prawda noszę, ale tylko flanelowy kaftanik, przy którym brakuje, zdaje mi się, trzech guzików...

— O kaftaniku wiem, z guzikami mi nie wyjeżdżaj! Kobieta tego pokroju, co ja, stworzona jest do wyższych celów, nie do przyszywania guzików... Dlaczegóż więc o owej torbie piszesz i opinię publiczną w błąd wprowadzasz?

— Bo mi się tak podoba i basta!...

To rzekłszy, zadziwiłem się sam, skąd mi się zebrało na tyle energii.

— Dawaj te listy! — ciągnęła dalej.

— Niestety... już podarte!

— Co?... Podarte?... To tak szanujesz papier?... To ty nie wiesz o tem, jak o niego teraz trudno?...

— Właściwie nie są jeszcze podarte — ja jej na to. — Złożyłem je u mojego biografa, który przyrzekł po mem najdłuższem życiu wydać całą mą korespondencyę.

— Oho! Już kręcisz!... Jak ja tego nie lubię... Jak to wygląda?... Daję ci termin dwadzieścia cztery godzin... Nie oddasz, sam sobie będziesz musiał przypisać winę, bo chyba wiesz, że ja w takich wypadkach nie żartuję!... Teraz mi powiedz, co było w poprzednim numerze skonfiskowane?

— Nie mogę!

— Nie możesz?... To ja ci pomogę!... Przysięgałeś mi posłuszeństwo...

— To ty mnie, o ile pamiętam...

— Kłamiesz!... Jeśli nie powiesz...

— Nie powiem, gdyż nie wolno. Za szerzenie inkryminowanych artykułów idzie się do ula...

— Ale rodzonej żonie możesz powiedzieć!

— Nie! Ani rodzonej, ani ciotecznej, ani stryjecznej...

— W takim razie potrafię zaspokoić swą ciekawość w inny sposób. Sama pójdę do prokuratoryi i dowiem się o tem...

— Idź i spróbuj!

— Zobaczysz, że pójdę...

— Pewnie!... Wszak już filozof jakiś ongi powiedział, że gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła...

— Cicho! Z dyabłami mi nie wyjeżdżaj, bo ja się ich nie boję...

— Myślę sobie!... Niewiasty twojego temperamentu żyją z nim w dobrej komitywie... To on właściwie ma respekt przed wami...

I kto wie, jak daleko byłaby mnie ta sprzeczka zawiodła (najwyżej pod stół... *przyp. zecera*), jednakowo się opamiętałem i, aby zażegnać burzę, wręczyłem Weronice dwie kartki z życzeniami dla niej na dzień 4 go lutego.

Jedna, nadesłana „express“ aż z Perehińska, utrzymaną jast w tonie bardzo poważnym. Autor jej, „pilny Czytelnik *Nowości*“, pisze: „w dniu Imienin Szanownej Żony Pańskiej, Weroniki, zasyłam szczere życzenia“.

Druga z Krakowa, niestety nieopłacona (porto dziesięć halerzy zapłaciłem z oszczędności, przeznaczonych na czarną godzinę), pochodzi od jakiejś niewiasty, która pisze:

„Z łaski swej proszę oddać swej nadobnej małżonce, Weronisi!

Szanownej Weronisi, w dniu Jej Patronki, najserdeczniejsze życzenia tęgiego zdrowia, dużą i pełną pończochę pieniędzy, pociechy z męża i wszystkiego najlepszego w tych ciężkich czasach przesyła

Czytelniczka.

P. S. Dla męża (!!???... mocno wątpię, czy ten mąż ma żonę...) serdeczne ucałowanie za kroniki“.

Ten dowód uznania dla niej i dla jej męża uradował poczciwą kobiecinę i, aczkolwiek imieniny obchodziła w dniu 13 go stycznia, oświadczyła, że przyjmuje życzenia i 4 go lutego, a także i 9-go lipca, z tem jednak zastrzeżeniem, że 1) muszą być należycie ofrankowane, 2) powinny być poparte odpowiednimi prezentami.

— Na dzisiejsze ciężkie czasy ktoby tam myślał o prezentach! — ja jej na to — Kobieto, jaką dumną powinnaś być z tego, że masz takiego męża! Pokaż mi drugiego kronikarza, z którym Czytelnicy tak współczują, którego tak kochają! Mnie po śmierci powinnaś wypchanego wystawić na widok publiczny w Muzeum Narodowem!

— Możesz się dać wypchać i za życia, byle mnie to nic nie kosztowało...

— Ale i ty ze mną! Wszak, jeśli zdobyłem sobie sławę i uznanie, to tylko dzięki tobie... ty stroisz moją lutnię kronikarską, tyś mem natchnieniem, tobą tylko żyję... Nas obydwoje wypchają na koszt kraju...

— Tylko to ucałowanie za kroniki wcale mi się nie podoba! Powinieneś sobie raz na zawsze to wyprosić... Od tego masz żonę...

— Racya!

(Nawiasowo powiem, że, o ile to mnie dotyczy, jestem zupełnie innego zdania i bardzo chętnie służę Szanownym Czytelniczkom, tak w dniach imienin mojej żony, jak i własnych, a trzeba wiedzieć, że na chrzcie świętym otrzymałem aż pięć imion, między niemi i Jana, który „imieninuje“ coś siedmnaście razy w roku. Wspominam o tem dla wiadomości P. T. Interesowanych. Szanowne Czytelniczki powyżej czterdziestki, za złożeniem pewnego relutum w gotówce, mogą być od owego całowania uwolnione).

Weronisia jest więc i ze mnie i ze siebie najzupełniej zadowoloną. Zawarła ze mną przymierze zaczepno odporne na czas nieograniczony i dała mi nawet codzienny „przezczas“ do dwunastej w nocy, choć obszedłbym się bez niego, tłumacząc się tem, że np. co drugą noc ma się pełnić dyżur w redakcyi, bo nuż zgłosi się jakiś interesant, cierpiący na bezsenność i tylko w nocy załatwiający swe sprawy.

Spokój więc na całej linii, na razie ustanie też huk grubej Berty i trajkot domowych karabinów maszynowych. W swem i Weroniki imieniu składam za to Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom głęboko odczute wyrazy prawdziwej wdzięczności i to nie bylejakiej, ale takiej pierwszej klasy.

A teraz przenieśmy się w inne sfery.

Jak ogólnie wiadomo, w dniu drugiego lutego, t. j. w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej, mieliśmy pogodę suchą i mróz, ponieważ zaś przysłowie powiada: „Gdy w Gromniczną z dachu ciecze, zima pewno się przewlecze“, możemy być przekonani, że wiosna już za pasem. Może być wprawdzie inaczej, ale temu nie będzie winna ani Redakcya, która chciałaby, jak najlepiej, ani autor przysłowia, jedynie referent niebieski od pogody. Podobno wzięto go do landszturmu i tymczasowo zastępuje go ktoś, na pogodzie się nie bardzo znający, nic też dziwnego, że się czasem myli i zamiast odkręcić kurek od śniegu, odkręca deszczowy i odwrotnie.

Zdaje się, że z tego właśnie powodu, iż zimy już nie będzie, zamierza magistrat, troskliwy zawsze o mieszkańców miasta, urządzić ślizgawkę w „Oleandrach“. Bilety już się sprzedaje, w razie zaś, gdyby ślizgawki nie było, będzie można korzystać z nich w roku przyszłym.

Nie mówmy jednak „hop“. Jeszcze mrozy mogą nam się dać we znaki. Futra wprawdzie nie trzepię, jest bowiem w zastawie, wietrzę przecież bardzo często kartkę zastawniczą, by się mole w niej nie zalęgły. Zresztą magistrat ma szczęście. Zapowiedział ślizgawkę, no to muszą być i mrozy. Wszak rok temu, czy dwa, gdy w lipcu ogłoszono przepisy o wywożeniu śniegu z miasta, zrobiło się nagle tak zimno, że byliśmy pewni, że zamiast sierpnia będzie zaraz grudzień!

Ponieważ niedźwiedź, o ile naturalnie zna przytoczone wyżej przysłowie, budę swą zburzył, sądzę, że zrobi to i ów niedźwiedź, który siedzi nad Strypą i cofnie się nad Dniepr, gdzie mu będzie stanowczo wygodniej i bardziej do twarzy. W ubiegłym roku łaził o tym czasie po Karpatach, ale tam sobie nogi pokaleczył i trochę mu futro poszarpano, dziś, dla własnego bezpieczeństwa powinien mnie także usłuchać, a dobrze na tem wyjdzie. Zresztą, tak, czy owak, koniec wojny, a zatem i pokój, zapowiadają znów na dziesiątego lipca (czytałem w *Kurjerku* o tem), autor obliczenia nie przyjmuje jednak na siebie żadnej odpowiedzialności za spełnienie się przepowiedni, zastrzega się wszakże, że w rachunku się nie pomylił, gdyż nigdy w szkole nie miał dwójki z matematyki.

A propos dwójek, to muszę zaznaczyć *ex re* końca pierwszego półrocza, że stosunkowo mniej, niż po inne lata, niemi szafowali panowie profesorowie, wobec czego i cybuchy ojcowskie nie potrzebowały być wprawiane w ruch nadmierny. Tu i ówdzie wygarbował wprawdzie rodzic, choć nie posiada upoważnienia do prowadzenia przemysłu garbarskiego, skórę otrokowi, takie jednak wyładowanie nagromadzonej energii, aczkolwiek dla jednej ze stron nieraz bolesne, jest koniecznem, ze względu na utrzymanie ojcowskiej powagi. Później, po latach nieraz wielu, wspomina to człowiek nawet z przyjemnością i ze współczuciem chwyta się za ową część ciała, która ucierpiała wówczas najbardziej, choć niesłusznie, cóż bowiem ma ona wspólnego z nauką. Wszak, według podręcznika fizyologii profesora Cybulskiego, rozum ma swą siedzibę w zupełnie innym odcinku!

I ja byłem niegdyś młody i ja przynosiłem czasem dwóję do domu i cierpiałem też, jak moi teraźniejsi młodzi przyjaciele, ale tego dziś nie żałuję, owszem powtarzam z Wincentym Polem: „a święte to ręce ojcowskie, co biją“... Ale wszystko trzeba robić w miarę, nie przesadzać, niejedna bowiem skóra, gdyby mówić umiała, powiedziałaby straszne rzeczy...

Z tych zanadto energicznych ojców zrobiłbym osobną „marszkompanię“ i posłałbym ich na front, niech trzepią hajdawery Moskalom i ich sprzymierzeńcom. Dopiero to daliby im łupnia!

Przerwałem owemi dwójami wywody meteorologiczno-polityczne, wracam jednak do nich, gdyż właśnie studyuję kartę terenu wojennego i zastanawiam się wraz z Weroniką nad tem, gdzie wymienią ostateczny uścisk przyjacielski ze sobą Niemiec i Anglik. Jedni z polityków są zdania, że w Egipcie, gdzie zmobilizowano nawet krokodyle i powołano je do pełnienia świadczeń wojskowych. Biuro Reutera donosi, że nawet stupięćdziesięcioletni krokodyl, który ongiś pożarł teściową nieboszczyka poprzedniego kedywa i od tego czasu cierpi na katar kiszek (podobno — kicha, jak najęty!... *przyp. zecera*), otrzymał odpowiednie wezwanie do objęcia obowiązków cenzora podróżnych w kanale Suezkim. Widocznie więc siedzi Anglikom dusza na ramieniu, a z nowej czteromilionowej armii będą nici.

Inni natomiast dyplomaci i strategicy są zdania, że rozstrzygnięcie nastąpi w Indyach, one bowiem są tym wrzodem, który Anglię najbardziej boli. Gdziekolwiek się to stanie, niech się dzieje, byle najdalej od nas. Indye znam, polowałem tam bowiem niegdyś na tygrysy z pewnym maharadżą, z którym ongiś chodziłem do sztuby u św. Barbary. Kraj ładny i bogaty, gdyby więc stracili go Anglicy, równałoby się to wyrwaniu im wszystkich zębów trzonowych, a tego, jako polityczny dentysta z całego serca im życzę. Oni są właściwymi sprawcami tej wojny, należy im się za to słuszna kara. Tak ich nienawidzę, iż angielskich cukierków ani angielskiego porteru do ust nie biorę (zwłaszcza, że go brak!), a potomka, gdyby zachorował na angielską chorobę, z pewnością zaraz bym wydziedziczył.

Gdyby tak udało się rzeczywiście przetrzepać tam skórę Anglii, zaraz wybrałbym się znów z powrotem i wyobrażam sobie, jaką zrobiłbym potem w Krakowie furorę powracając stamtąd w powozie, zaprzężonym w sześć całkiem oryginalnych i żywych tygrysów!

Coś podobnego można widzieć tylko w kinie lub panopticum, a nie w rzeczywistości.

Aby to się jednak stało, musimy się postarać, by wojna już się raz skończyła, gdyż w przeciwnym razie gotów kronikarz, zamiast do Indyi, przejechać się w... strzelecki rów.

Głosy publiczne.

Odkupię Nr. 27 i 47 „Nowości illustrowanych“ z roku 1914. Wiadomość w Administracyi.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko polskiego literata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □

□ — — — — — — — — — —

□ — — — — — — — — —

□ — — — — — — — —

□ — — — — — — —

□ — — — — — —

□ — — — — —

□ — — — —

□ — — —

□ — —

□ —

□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Miasto w Egipcie 3 Siedziba panującego 4 Ryby 5 Wyspa w Europie. 6 Strój polski. 7 Miasto w Galicyi 8 Imię męskie. 9. Płyn bardzo pospolity. 10. Głos. 11. Przyimek. 12. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył H. M, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Godnie Riecz niesie na materacach pod inną wiśnią żyda, zero i wiatyk.

Grzebieniówka.

Ułożył H. M., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały w pionowych szeregach wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko słynnego prezydenta miasta Krakowa.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta angielski. 2! Wojsko rosyjskie. 3 Jezioro w Ingryi. 4. Lekarstwo. 5 Amerykanin 6. Imię męskie 7 Inaczej powiat. 8 Imię żeńskie. 9. Inaczej sielanka. 10. Wyrob z papieru

Kwadrat magiczny.

Ułożył E Jarzyna, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko znakomitego niemieckiego matematyka.

■

— ■ —

— — ■ — —

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■

— — ■ — —

— ■ —

■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Żałobny ubiór. 3 Część mieszkania 4 Szukany wyraz. 5. Wykrzyknik. 6. Ptak. 7 Spółgłoska.

Łamigłówka wojenna.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych nazwisk wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich nazwisko znakomitego wodza austryackiego w obecnej wojnie

1. Kitchener.
2. Iwanow.
3. Linsingen.
4. Bothmer.
5. Pau.
6. Liman von Sanders.
7. Böhm Ermolli.
8. Fövess.
9. Castelnau.
10. Ruzski.
11. Bojadjew.
12. Hamilton.
13. Todorow.
14. Cadorna.
15. Sarrail.
16. Pflanzer Baltin.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a

b c e e

k o o s

t t w w

Znaczenie wyrazów: 1 Ptak drapieżny. 2. Płyn. 3 Materya. 4 Inaczej napad.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Ada Gross da Juli Dode nosa!

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

ADAM R. GURT.

ERAZM W. T KRIST.

CEZARY IWO F. OBST.

AURELI SEMSSING.

WALERYAN A. Ł. GIEREK.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Trójkąt magiczny:

K a c z k o w s k i

A r t y l e r y a

C h a s y d z i

Z y g m u n t

K r a k ó w

O p o s y

W a l i

S o k

K u

I

Krzyż magiczny:

P C A

e h r

P e l i k a n

C h i c a g o

A r k a d y a

a g y

n o a

Zadanie do przestawienia: Obiecanka cacanka, głupiemu radość

Logogryf:

J a j o

K a m a

b a k i

o c z y

K a i n

r ę k a

J a w a

L i m a

L i d a

o z ó r

b r ą z

e t e r

b r a k

I k a r

m a c a

s i t o

p r ę t

o p a l

i b i s

u s z y

w a s a

b ą k i

Szarada: Madagaskar.

Przysłowiówka: Co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi.

Bilety wizytowe: Ginekolog. Psychiatra. Wachmistrz żandarmeryi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. G l ński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Swirski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, R Królicki Krościenko n. D., Cz. Ustupska Zakopane, W. S u a Widynów, P. Jakubas Pojatowski Miechów, Z. Szymanek Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Buczyński, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Złapała się!

Pani Trzyprztycka bardzo była zmartwiona, gdy egzekutor sądowy złożył w domu niespodziewaną wizytę. Nie straciła jednak fantazyi i, aby nie skompromitować się wobec służącej, gdy nieproszony gość opuścił mieszkanie, rzekła:

— Marysiu! Zamknij drzwi za mym bratem!

— O! To pani jest krewną tych państwa, u których służyłam przedtem, bo ten pan też był ich krewnym i prawie co miesiąc ich odwiedzał...

Właściwy powód.

— Jak to może być, panie Zenonie, już cztery lata, jak jesteś pan żonaty, oboje jesteście ludzie młodzi i zdrowi i nie macie dzieci?

— Widzi pani dobrodziejka, w tem leży właściwy powód, że moja teściowa obiecała, iż po pierwszem dziecku zjedzie do nas na dłuższy czas...

Powód smutku.

Kasia: Och! Proszę pani, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Mój Staszek nie jest mi wierny...

Pani (pocieszając ją): E... Daj pokój, Kasiu! Ktoby tam płakał... Poszedł jeden, znajdzie się drugi!

Kasia: Kiedy i ten drugi, proszę pani, też mnie nie chce!

W hotelu.

Gospodarz: I jak się panu dobrodziejowi spało?

Gość: Z początku nie mogłem jakoś zasnąć, dopiero, gdy wszedł księżyc, zacząłem liczyć pluskwy na ścianie i tak się tem zmęczyłem, że wreszcie nad ranem usnąłem...

Pocieszyła go.

— Najdroższa! Więc dziś uciekamy wieczornym pociągiem w stronę Wiednia!

— Ach! Czy nie lepiej byłoby jutro rano? Mama powiada, że będziemy mieć lepsze połączenia!

Fijakierski humor.

Gość: Hej! Fijakier! Wiele chcesz do szpitala waryatów?

Fijakier: A czy pan dobrodziej tam zostanie?

Sumarycznie.

— I dlaczego żądasz pani rozwodu?

— Mąż, panie sędzio, złamał mi wiarę małżeńską, serce i obojczyk!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego